

RZECZPOSPOLITA
NA UCHODŹSTWIE

BARTOSZ CZAJKA ■ MICHAŁ DWORSKI

RZECZPOSPOLITA NA UCHODŹSTWIE

ROZMOWY O DZIEDZICTWIE POLSKIEJ
EMIGRACJI POLITYCZNEJ 1939–1991

ANNA MARIA ANDERS
ZBIGNIEW MARIA DZIEMBOWSKI
STANISŁAW GEBHARDT
ADAM KOMOROWSKI
MACIEJ MORAWSKI
KATARZYNA RACZYŃSKA
WIRYDIANNA REY

Lublin 2021

Recenzja
dr Arkadiusz Adamczuk (BU KUL)

Projekt okładki
Michał Dworski

Korekta i adiustacja
Józef Krzyżanowski

Sfinansowano przez Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich na lata 2018–2030



© Copyright by Instytut im. gen. Władysława Andersa
© Copyright by Werset, Lublin 2021

ISBN 978-83-67064-05-7

Wydawnictwo Werset
ul. Radziszewskiego 8/216, 20-031 Lublin
tel. 81 533 53 53
wydawnictwo@werset.pl
www.werset.pl

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	7
Anna Maria Anders	9
Zbigniew Maria Dziembowski	15
Stanisław Gebhardt	25
Adam Komorowski	43
Maciej Morawski	63
Katarzyna Raczyńska ■ Wirydianna Rey	77
Fotografie	95

WPROWADZENIE

Szanowni Państwo,

„Rzeczpospolita na uchodźstwie. Rozmowy o dziedzictwie polskiej emigracji politycznej w latach 1939–1991” to wyjątkowy zbiór rozmów. Do współtworzenia tej publikacji zaprosiliśmy siedem osób, które obserwowały z perspektywy bliższej bądź dalszej kondycję życia społeczno-politycznego polskiej emigracji powojennej w różnych częściach świata.

Dobór rozmówców jest nieprzypadkowy. W wywiadach uczestniczyli w głównej mierze potomkowie najważniejszych postaci polskiego uchodźstwa niepodległościowego.


Rozmówcy wielokrotnie byli uczestnikami ważnych wydarzeń na emigracji i często sami je inicjowali – służąc tym samym Rzeczpospolitej na uchodźstwie. Wybrane osoby napisały własną historię zaangażowania społeczno-politycznego po II wojnie światowej, inne z kolei były skromnymi obserwatorami, biorącymi udział w życiu publicznym swoich rodziców.

Wśród osób, które zgodziły się na przeprowadzenie wywiadów, znajdują się: Anna Maria Anders – córka gen. Władysława Andersa, Katarzyna Raczyńska i Wirydianna Rey – córki ambasadora Edwarda Raczyńskiego i Prezydenta RP na Uchodźstwie, Maciej Morawski – syn ambasadora Kajetana Morawskiego, delegat Rządu RP we Francji i wieloletni korespondent Radia Wolna Europa, Adam Komorowski – syn generała Tadeusza Bora-Komorowskiego, prof. Stanisław Gebhardt – sekretarz generalny Międzynarodowej Unii Młodych

Chrześcijańskich Demokratów oraz Zbigniew Maria Dziembowski, Delegat Rządu RP na Republikę Południowej Afryki (1990).

Oddajemy w ręce Czytelników zbiór rozmów z osobami pragnącymi opowiedzieć nam, jak wyglądało ich życie, którego znaczna część przypadła na okres powojennej emigracji. Swoimi wspomnieniami ukazują one koleje własnych losów, a także obraz życia społeczno-politycznego polskiego uchodźstwa niepodległościowego. Cieszymy się, że to właśnie Instytut im. gen. Władysława Andersa może opublikować te niezwykle rozmowy. Mają one ważną rolę w kultywowaniu społecznej pamięci o tym często zapomnianym okresie historii Polski.

Bartosz Czajka, Michał Dworski

 **Anna Maria Anders** – (ur. w 1950 roku) – dyplomata, polityk, zaangażowana w życie emigracji i współczesnej Polonii. Jest córką generała Władysława Andersa i Ireny Anders. Ukończyła filologię romańską na University of Bristol, a także studia ekonomiczne na Uniwersytecie Bostońskim. Była zatrudniona w Biurze Prasowym UNESCO w Paryżu oraz w przedsiębiorstwach branży naftowej i obrotu nieruchomości. Po śmierci matki została prezesem zarządu Fundacji im. gen. Władysława Andersa, zajmującej się m.in. udzielaniem stypendiów studentom pochodzenia polskiego z państw dawnego ZSRR. W 2016 roku zdobyła mandat Senatora RP w wyborach uzupełniających. Równolegle, w latach 2016–2019, była sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, jako pełnomocnik Premiera do spraw Dialogu Międzynarodowego. W 2016 roku została wybrana przewodniczącą Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Od 2019 roku w dyplomacji w randze Ambasadora RP we Włoszech z jednoczesną akredytacją w San Marino.

[Bartosz Czajka] Pani Ambasador, spotykamy się z okazji szczególnej rocznicy, 50. rocznicy śmierci Pani ojca, generała Władysława Andersa. Z powodu aktualnej sytuacji epidemicznej, będzie Pani na grobie rodziców na cmentarzu wojskowym pod Monte Cassino sama. Jak ta chwila będzie wyglądać?

[Anna Maria Anders] Mówiąc szczerze, bardzo lubię być na cmentarzu sama przy grobie rodziców. Miałam okazję teraz, mieszkając we Włoszech, zrobić to kilka razy, będąc choćby przejazdem, aby złożyć kwiaty. Jednak, jak jest masa osób, to człowiek się nie może pomodlić, skupić. Także z jednej strony po prostu będę szczęśliwa, że mogę tam być, ale oczywiście było mi bardzo miło i było budujące dla mnie to, że tylu ludzi pamiętało i chciało być ze mną. No, ale cóż, jest tak jak jest. Ja się cieszę, że stopniowo sytuacja epidemiczna się u nas polepsza. 18 maja będzie 76. rocznica bitwy o Monte Cassino i też nie bardzo wiemy, jak będzie przebiegała. Możliwe, że uda się odprawić jakąś mszę świętą, w małym gronie, może ambasady i burmistrza miasta Cassino, ale znowu wszystko tylko tak symbolicznie. Jest nadzieja, że pan minister Jan Józef Kasprzyk z weteranami będą u nas w listopadzie.

Również mam nadzieję, że pamięć o bitwie będzie można uczcić właśnie tam, w miejscu bliskim każdemu Polakowi. Pani Ambasador, generał Anders był dla Polaków, którzy żyli w komunistycznym państwie, symbolem nadziei, dziś dla nas także pozostaje symbolem wolności, jednym z najważniejszych mężów stanu XX wieku. Jaką osobą był z Pani perspektywy? Jakim ojcem był generał Anders?

Ojcem był fantastycznym. Muszę powiedzieć, że szczególnie to doceniałam, jak byłam małą dziewczynką. Jak byłam nastolatką było inaczej, bo ojciec, niestety, zachorował, jak miałam 10 lat, i później już był mniej aktywny. Ale kiedy byłam mała i przebywaliśmy w Londynie, to było naprawdę fajnie. Ojciec był tam osobą anonimową, mógł swobodnie chodzić po ulicy. Wybieraliśmy się razem do cyrku, do parku, do szkoły, dla Anglików on był „nikim”, no a w gronie polskim zawsze był gwiazdą. Ale w domu to był tatuś, po prostu. Był kochany,

zawsze mówił, że jestem jego ostatnią i największą miłością. Muszę powiedzieć, że ja czuję, że on żyje. Dla mnie to jest zupełnie niezwykle. Uczucie to towarzyszyło mi gdy byłam w Polsce, jako senator, sekretarz stanu, jak uczestniczyłam w różnych uroczystościach, a co dopiero tutaj, we Włoszech, gdzie wszędzie są jakieś pamiątki. Nawet gdy chodzę po ulicy, przypominają się tamte czasy.

Generał Anders i żołnierze II Korpusu spędzili we Włoszech wiele miesięcy a nawet lat. Czy Pani Ambasador czuje przez to, że to miejsce jest szczególne? Czy Włosi zachowali pamięć o polskich żołnierzach?

O tak, bardzo, bardzo pamiętają. Znajduje się tu wiele pomników i tablic, szczególnie na północy, w regionie Marche, tam gdzie stoczyli bitwę o Bolonię i Anconę. Tu w regionie rzymskim jest oczywiście Monte Cassino, Piedimonte, te miasteczka też zachowują pamięć o żołnierzach. Moim zdaniem Włosi na ogół pamiętają i doceniają rolę II Korpusu Polskiego, tylko w dalszym ciągu brak jest wiedzy historycznej. Właściwie, jak się zapyta przeciętnej osoby, to kojarzą: generał Anders, Monte Cassino, Bolonia, Ancona. Ale skąd się tutaj wzięli Polacy, to ludzie na ogół nie wiedzą. Tak jest nie tylko we Włoszech, tak jest na całym świecie. Ludzie niestety nie znają historii. Wydaje mi się, że trzeba robić właśnie to, co wy chcecie robić. Pochwalam ten pomysł, takie centrum edukacji, działania dla Polonii, z językiem, kulturą, to jest to, czego potrzebujemy.

Bardzo mnie cieszą te słowa. Wróćmy jeszcze na chwilę do tego, jak wyglądał Pani dom rodzinny. Bo był to dom wyjątkowy, jak sama Pani stwierdziła, jest Pani „córką generała i piosenkarki”. W wielu wspomnieniach podkreślała Pani, że był to dom na wskroś polski, pomimo że był od Polski oddalony o tysiące kilometrów.

Był domem polskim, choć jak byłam małą dziewczynką, to mi się wydawał domem normalnym. Teraz, gdy patrzę wstecz, widzę, że nie był normalny, w sensie zwykły, bo przychodzili do ojca bardzo ważni

ludzie – politycy, generałowie. Teraz zdaję sobie sprawę, że to byli wybitni ludzie.

Dom był bardzo polski. Uświadomiłam sobie to dopiero wówczas, gdy zaczęłam jeździć do kraju. Wszystko było mi znajome – tradycje, wigilia, msza święta, jedzenie, święta wielkanocne. Trzeba pamiętać, że moim pierwszym językiem był polski. Ja nie mówiłam słowa po angielsku do wieku pięciu lat, kiedy poszłam do szkoły.

Miałam dwa życia: to bardzo polskie w domu, ta mała Polska poza Polską, którą stworzyła powojenna emigracja i mój ojciec z klubami, gazetami, restauracjami, a z drugiej strony życie angielskie oraz życie artystyczne mojej mamy. Nie zapominajmy, że ja miałam w domu dwie sławne osoby.

Pani Mamie i Pani Ambasador dane było wrócić do Polski. Niestety, generał i wielu z jego żołnierzy nigdy do Polski wrócić nie mogło. Czy generał odczuwał żal, że mimo tylu walk nie dane mu było wrócić do ojczyzny?

Na pewno odczuwał żal. Musiało to być dla niego okropne, że Polska stała się komunistyczna, ale ojciec, pomimo tych wszystkich problemów, kiedy mówił o Polsce to zawsze nostalgicznie... Zastanawiam się, kiedy przestał wierzyć, że wróci do Polski. Jest udokumentowane, że na początku w Londynie wierzono, że coś się stanie – jakaś III wojna światowa – że to się zmieni. Nie wiem, kiedy ojciec przestał w to wierzyć. Był zaangażowany w sprawy polityczne i na emigracji, i w kraju... Potem jak już był mniej aktywny, to spędzaliśmy dużo czasu na rozmowach. Ale ojciec niewiele mówił o wojnie... W ogóle nie mówił o wojnie. Gdy wyszłam za mąż też za żołnierza, który był pułkownikiem wojsk amerykańskich w Wietnamie, to on również nie wracał do tamtych chwil... Często słyszę, że żołnierze o wojnie nie chcą mówić. Inaczej było z Monte Cassino. Ojciec uwielbiał te Włochy. Jego przeznaczeniem to było być tutaj, we Włoszech.

Jest Pani blisko tego szczególnego miejsca, jakim jest Monte Cassino. Raz miała Pani okazję odwiedzić Monte Cassino wraz z ojcem. Jak wyglądał ten moment?

To była jego ostatnia wizyta – w 1969 roku. Ja mało pamiętam, bo był wtedy w tak złym stanie, że lekarze mówili, aby nie jechał. Martwiliśmy się o niego. Powiedział wtedy, że jeżeli ma umrzeć, to Monte Cassino jest miejscem dla niego. Z tego 1969 roku pamiętam tłumy i mojego ojca, generała, którego przywieźli samochodem na cmentarz, bo nie mógł chodzić. Wszyscy wiedzieli, że to będzie prawdopodobnie jego ostatnia wizyta... Ojciec był bardzo szczęśliwy, że to się udało. To było bardzo ważne.

Rok później pogrzeb pana generała też stał się taką wielką manifestacją patriotyczną i wyłamał się z zimnowojennego *consensusu* – gdy władze PRL protestowały przeciwko obecności władz brytyjskich, choć brały one udział w tej uroczystości pogrzebowej. Był to gest solidarności z Polakami, którzy utrzymywali swoje państwo na uchodźstwie.

Ja się nie za bardzo orientuję, bo to wszystko odbywało się tak szybko... Byłam na studiach w Hiszpanii i wróciłam do Londynu. Od razu odwiedziłam ojca w szpitalu – był już nieprzytomny, miał wylew i tak to się zakończyło...

Pomimo, że chorował tyle lat, to właśnie w tym okresie był w dobrym stanie i humorze. Poprzedniego wieczoru był z mamą na przyjęciu. To był szok, nikt się tego nie spodziewał. Niewiarygodne, że to już 50 lat...

Teraz jednak Pani Ambasador może realizować coś takiego, co możemy nazwać testamentem Władysława Andersa. Zastanawiam się, co dzisiaj powiedziałyby Polakom w kraju i zagranicą. Jakie jest przesłanie, które płynie z życia i działalności generała Andersa?

Ojciec był wielkim patriotą. Powiedziałby: Bóg, Honor, Ojczyzna. Był osobą wierzącą i mówił często, że to była woła Boska, że się wy dostał z tej Łubianki. Honor, Ojczyzna – Patriotyzm.

Bardzo się cieszę, że w 50. rocznicę jego śmierci mam tyle maili i próśb o wywiady – wiele osób chce tę rocznicę uczcić. Ojciec by się cieszył z kierunku, w jakim Polska teraz idzie.

Czy sądzi Pani, że generał Anders może być symbolem dla współczesnych środowisk polonijnych i jednocześnie patronem wielu inicjatyw do nich skierowanych?


Tak, absolutnie. Ojciec robił tyle dla emigracji po wojnie – Skarb Narodowy, Macierz Szkolna – i stał się symbolem.

Właśnie to jest symboliczne, że Pani syn poszedł w ślady wojskowe, a Pani Ambasador w ślad działalności publicznej i politycznej...

Ale wielką miłość do wojska też mam – olbrzymim sentymentem darzę wojsko w kraju.

Pani Ambasador, dziękujemy bardzo serdecznie za ten wywiad. Mamy nadzieję, że i my jako Instytut im. gen. Andersa będziemy mogli to dziedzictwo Pana generała kultywować poprzez wielostronną działalność edukacyjno-popularyzatorską oraz naukową i analityczną.

Życzę wszystkiego dobrego, pozdrawiam wszystkich bardzo serdecznie.

 **Zbigniew Maria Dziembowski** – (ur. w 1933 roku w Rakojadach) – ostatni Delegat Rządu RP i Komisji Skarbu Narodowego w Republice Południowej Afryki (1990), działacz emigracyjny w tym państwie od 1967 roku (m.in. jako członek Związku Osadników Polskich w RPA czy Rodziny Polskiej w Pretorii). Z wykształcenia inżynier hydrogeolog, absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej, zawodowo związany z południowoafrykańskim Instytutem Geologicznym i Ministerstwem Gospodarki Wodnej i Leśnictwa, gdzie był wicedyrektorem oddziału hydrogeologicznego (do 1998 roku). Autor wielu artykułów i opracowań naukowych poświęconych zagadnieniom hydrogeologicznym publikowanych w międzynarodowych, w tym w południowoafrykańskich, czasopismach. Za swoją działalność publiczną został odznaczony w 2002 roku Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W tym samym roku przekazał całość swojego archiwum emigracyjnego do dyspozycji Fundacji Dziedzictwa Polskiego w Afryce Południowej, które zdeponowane zostało w Zakonie Sióstr Służebniczek NMP w Johannesburgu.

[Michał Dworski] Szanowny Panie Zbigniewie, rozpocznijmy tradycyjnie. Zanim trafił Pan na stałe do Republiki Południowej Afryki – jak wyglądała historia Pana życia?

[Zbigniew Maria Dziembowski] Urodziłem się w 1933 roku w Rakojadach – gmina Skoki, powiat Wągrowiec w województwie wielkopolskim, jako trzeci syn Stefana Dziembowskiego i Marii-Ludwiki Karwowskiej. W grudniu 1939 roku moja rodzina została wysiedlona przez Niemców do Zamościa. Następnie, z początkiem 1940 roku, zamieszkaliśmy u rodziny mojej babki – Kamili Kisielnickiej – w Woli Piaseckiej, to jest około 25 kilometrów na wschód od Lublina. Mój ojciec, zmobilizowany w sierpniu 1939 roku, jako kapitan artylerii, dostał się do niewoli niemieckiej i został osadzony w oflagu w Lienz (Ost Tirol), a następnie, do stycznia 1945 roku, w Woldenbergu.

Wspomnę jeszcze, że w czasie okupacji po kilkutygodniowym pobycie u rodziny Kowerskich, w Zamościu, zjawiliśmy się we wspomnianej Woli Piaseckiej. Od 1943 roku, na skutek ponownego wysiedlenia, musieliśmy udać się do pobliskich Piask Luterskich, zatrzymując się u mojej opiekunki, Marii Kosickiej, która w grudniu 1939 dobrowolnie przyjęła deportację z wielkopolskich Rakojad, by dopomóc mojej matce z nami – małymi dziećmi (moich dwóch starszych braci, młodsza siostra i Staś, urodzony tuż przed wybuchem wojny, zmarły z początkiem 1940 roku w Lublinie).

Matka została zaangażowana w firmie „Leszczków” w Lublinie, jako że była biegła w języku niemieckim. Dwaj starsi bracia zostali umieszczeni przez RGO w internacie, w Warszawie, a siostra Urszula, która nabawiła się gruźlicy – została umieszczona w Zawoi u żony stryja Seweryna (przed wojną sędziego Sądu Najwyższego), gdzie wyzdrowiała i mieszkała tam do końca wojny. Moi bracia zostali wyewakuowani z Warszawy, niedługo przed wybuchem Powstania Warszawskiego do Doliny Kościeliskiej w Tatrach.

Ojciec, został zwolniony na skutek marszu Armii Czerwonej na zachód. W lutym 1945 roku udało mu się dotrzeć do Lublina i pozyskać pracę w cukrowni „Lublin”, jako inspektor plantacyjny w Milejo-

wie. Nasz powrót do Rakojad był zabroniony przez reformę rolną. To było rozszerzone na cały powiat Wągrowiec.

Zatem w Milejowie mieszkaliśmy do połowy 1950 roku, kiedy to w wyniku polityzacji cukrowni lubelskiej, dyrektorem został były furman, a mój ojciec, jako „były obszarnik” został zwolniony. Szczęśliwie, dostał pracę w Lubelskiej Krochmalni, jako terenowy inspektor plantacji kartofli i przeprowadziliśmy się do Międzyrzecza Podlaskiego, gdzie w 1951 roku ja z bratem Michałem (którego w edukacji „dogoniłem” przez wojnę) zdaliśmy razem maturę w miejscowym Liceum Ogólnokształcącym.

Po maturze czas na studia.

Po maturze, szczęściarzem ze mnie, dostałem się na Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, na Wydział Geologiczno-Poszukiwawczy. Studia ukończyłem w czerwcu 1956 roku, jako magister inżynier geologii. Po szczęśliwym zniesieniu nakazu pracy (miałem nakaz pracy w kopalni rudy żelaza koło Częstochowy), wróciłem we wrześniu 1956 roku do Krakowa i znalazłem pracę, jako hydrogeolog. Pierwsza moja pensja wynosiła 1300 złotych miesięcznie. Na szczęście, ekstra można było dorobić jeżdżąc 3 klasą PKP. Praca była ciekawa i zespół ludzi porządny, wspomagający się wzajemnie.

Od jak dawna mieszka Pan w Republice Południowej Afryki? W jakich okolicznościach trafił Pan do tego państwa?

W styczniu 1965 roku udało mi się wyjechać z Polski, na zaproszenie krewnych do Wiednia. To było moje pożegnanie z socjalizmem i Polską Rzeczpospolitą Ludową. W stolicy Austrii znalazłem zatrudnienie w Instytucie o nazwie „Arsenal”, jako hydrogeolog. Pracowałem przy zastosowaniu izotopów w terenowych badaniach hydrogeologicznych. Po dwuletnim pobycie w Wiedniu otrzymałem propozycję z Republiki Południowej Afryki na emigrację i stałe zatrudnienie przy badaniach hydrogeologicznych.

Pracę zawodową w RPA rozpocząłem w lutym 1967 roku. W pierwszej kolejności pracowałem w Instytucie Geologicznym, a później w Ministerstwie Spraw Wodnych¹ w oddziale hydrogeologii. Moją ostatnią funkcją było stanowisko wicedyrektora oddziału. We wrześniu 1998 roku, mając 65 lat, przeszedłem na emeryturę.

A pańska rodzina? Czy emigrował Pan do RPA samodzielnie?

Moja żona, Polka, urodzona we Lwowie, nazywała się z domu Halina Langer. Była magistrem Akademii Wychowania Fizycznego. Zgodziła się na emigrację i w czerwcu 1968 roku zjawiła się w Pretorii na oficjalne zaproszenie doktora Franka Kaluzy², mojego nowego przyjaciela w Pretorii (który od października 1939 roku nie był w Polsce). W lipcu 1968 roku ksiądz prałat dr Jan Jaworski³ udzielił nam katolickiego ślubu. Docekaliliśmy się trójki dzieci – mamy dwóch synów i córkę.

Powojenna emigracja polska do RPA to niezwykle ciekawa historia, o której jednak mało się wspomina. Dlaczego Polacy wybierali właśnie to państwo w Afryce? Czy mógłby Pan coś więcej powiedzieć o powodach emigracji Polaków po 1945 roku do RPA?

1. Department of Water Affairs and Forestry (DWAF)

2. Frank Kaluza (Franciszek Kałuża) – polski działacz emigracyjny w RPA, wieloletni prezes organizacji „Rodzina Polska w Pretorii”. Na początku lat 60. XX wieku rozpoczął wydawanie czasopisma o tej samej nazwie co organizacja, której przewodził. Od 1964 roku zmieniono nazwę periodyku na „Biuletyn Informacyjny”, w którym szczególne miejsce odgrywały przedruki z londyńskiej prasy emigracyjnej.

3. Jan Jaworski – polski duchowny katolicki, infułat archidiecezji łódzkiej, wieloletni Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Republice Południowej Afryki. Arcybiskup J. Gawlina wysłał ks. Jana Jaworskiego do RPA w 1962 roku. Do czasu przybycia polskich Chrystusowców w 1983 roku był jedynym duszpasterzem Polaków na terenie Południowej Afryki. Zdobył też kwalifikacje urzędnika stanu cywilnego, notariusza i tłumacza przysięgłego w Sądzie Najwyższym w RPA. Po przejściu na emeryturę w 1999 roku nadal pomagał w duszpasterstwie polonijnym. Był autorem 35 książek w języku polskim i angielskim na tematy religijne oraz społeczne, a także wielu artykułów. Należał do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Powojenna emigracja z Polski Ludowej do Republiki Południowej Afryki była dość skomplikowana. Zazwyczaj powodem decyzji o emigracji była znajomość kogoś ze starej, wojennej Polonii, która tam się osiedliła – najczęściej kresowego pochodzenia. Były to osoby, które doświadczyły agresji Armii Czerwonej w 1939 roku i zsyłki na Syberię, wskutek czego ludność polska była całkowicie odporna na propagandę komunistyczną – w tym propagandę PRL. Gdzie osiedlali się Polacy? Najczęściej w centrach przemysłowych – w regionach, gdzie istniał przemysł górniczy. Na kupno farmy Polaków nie było stać. Nie słyszałem o Polakach – rolnikach osiadłych na farmie. Nie mieli na to środków i przede wszystkim doświadczenia z tutejszym klimatem. Najbardziej poszukiwano ludzi z górniczym doświadczeniem, a i przemysł też poszukiwał różnych specjalistów. Rolnictwo, to zero szans, bo brak klimatycznego obeznania wykluczał Polaków i nie dawał nikomu szans na atrakcyjną pracę i płacę. Większe centra osiedlania się Polaków to Witwatersrand, Cape Town, Durban.

Rząd RPA nie uznał komunistycznych władz w Warszawie, choć w 1946 roku wycofał uznanie dla Rządu RP na Uchodźstwie. Jakie były relacje pomiędzy władzami RPA a środowiskami polskimi w tym kraju w okresie po zakończeniu II wojny światowej?

Polonia w RPA była zdecydowanie antykomunistyczna. To wynikało z własnego doświadczenia lub doświadczenia rodziców. Władze RPA rozumiały dobrze sytuację, w jakiej Polska się znalazła po wojnie i nigdy nie nawiązano jakichkolwiek stosunków pomiędzy PRL a RPA. Władze RPA znały doskonale oblicze polityczne Polaków osiadłych w tym kraju. Sympatyzowano z nami.

Kiedy rozpoczęła się Pana aktywność społeczna w ramach środowisk emigracyjnych w RPA?

Do Związku Osadników Polskich w RPA zapisałem się zaraz po przybyciu w 1967 roku. Następnie, gdy zamieszkałem w Pretorii, związałem

się z organizacją: „Rodzina Polska w Pretorii”, na czele której stał prezes dr Frank Kaluza. Oczywiście, zostałem też jej członkiem.

Gdy czyta się zachowane przez Pana archiwalia dotyczące środowisk emigracyjnych (aktualnie w dyspozycji Fundacji Dziedzictwa Polskiego w RPA), to niezwykle ciekawie przedstawia się struktura polskich organizacji w Południowej Afryce. Jak wyglądała po wojnie działalność społeczna polskich emigrantów? Jakie organizacje miały największe znaczenie? Czy „sercem” polskiej emigracji w RPA była siedziba Klubu Polskiego w Johannesburgu?

Centra Polaków w RPA to był i jest Johannesburg i cały Witwatersrand, Kapstadt i Durban. Inne centra to małe grupki polskie powoli zatracające polonijny charakter wraz z wiekiem ich członków. Młodsze pokolenia na ogół tylko luźno się angażują. To pewnie kwestia naturalna, bo tempo życia niezbyt pozwala na takie „polonijne hobby”.

W latach 80. XX wieku obserwujemy kolejną falę emigracji (głównie zarobkowej) Polaków do RPA. Jak z Pana perspektywy wyglądały relacje pomiędzy „starą” a „nową” Polonią?

Fala emigracyjna, postsolidarnościowa, była wyjątkowo silna. Ci ludzie się całkowicie zaaklimatyzowali i zli z starą Polonią. Ich start w RPA był stosunkowo łatwy biorąc pod uwagę zainteresowanie władz i użyteczność nowych polskich emigrantów.

W artykule Pana Arkadiusza Żukowskiego o środowiskach polskich w RPA – w monumentalnym dziele „Akcja Niepodległościowa na Terenie Międzynarodowym 1945–1990” – wskazuje on, że Polacy byli lojalni wobec władz południowoafrykańskich, ale nie angażowali się bezpośrednio w działalność polityczną w tym kraju. Píše on także, o krzywdzących opiniach w prasie krajowej i emigracyjnej, że „Polacy to najwięksi entuzjaści

apartheidu". Zgadza się Pan z tym stwierdzeniem? Z czego mogły wynikać takie głosy?

Nie znam artykułu Pana Arkadiusza Żukowskiego. Jednak przedstawiona wyżej opinia o Polakach osiadłych w RPA, według tego autora, jest trafna – zgadzam się z nim. Polacy nie interesowali się polityką wewnętrzną kraju. Jako zaproszeni goście do RPA nie mieszały się do polityki rządzącej partii i nie krytykowali systemu politycznego. Uważali siebie za niepowołanych do krytyki ich gospodarzy. Mieli rację. System ten się zmienił bez rewolucji na drodze negocjacji i ku ogólnej aprobacie. Wspomnę jeszcze, że aby wyrobić sobie własny i krytyczny stosunek do tutejszej rzeczywistości potrzeba wielu lat zamieszkania w RPA. Jednostronne opinie bez znajomości stosunków wewnętrznych mogą być błędne.

Służył Pan „Rzeczpospolitej na Uchodźstwie”, która wiernie od 1939 roku niosła tradycję i formalno-prawną ciągłość przedwojennego państwa polskiego. W 1990 roku zastąpił Pan na stanowisku Delegata Rządu RP i Delegata Skarbu Narodowego na teren RPA Andrzeja Stanisława Jasiukowicza, który pełnił tę funkcję w latach 1975–1989. Czy było to dla Pana wyróżnienie? Jak wyglądała Pana praca, jako delegata krajowego podległego „emigracyjnemu państwu”?

Nominację na Delegata Rządu RP w Londynie i przedstawiciela Skarbu Narodowego na teren RPA przyjąłem i starałem się wypełnić te funkcje. Był to schyłek politycznego zaangażowania Polaków w Południowej Afryce. Nasi Rodacy mieli dość polityki, chcieli urządzić się w kraju ich osiedlenia, wykorzystać sprzyjające warunki dla swych rodzin i byli lojalni wobec kraju ich osiedlenia. Nie zastanawiałem się wiele, kiedy dostałem nominację z Londynu. Uważałem zawsze, że Rząd Polski na Emigracji był potrzebny do momentu wolnych wyborów w Kraju. Wszystko tak właśnie się potoczyło. Działiałem oficjalnie do momentu rozwiązania Rządu RP na Uchodźstwie i przekazania in-

sygniów władzy przez Prezydenta Kaczorowskiego Lechowi Wałęsie w Warszawie.

Czy Pan jako Delegat Rządu RP utrzymywał oficjalne bądź nieoficjalne kontakty z władzami RPA?

Nie, to nie było konieczne.

Wspominał Pan o Ryszardzie Kaczorowskim. Zapytam więc, jak Pan przyjął wiadomość o formalnym przekazaniu insygniów prezydenckich przez ostatniego Prezydenta RP na Uchodźstwie Lechowi Wałęsie w grudniu 1990 roku? Witał Pan ten krok z nadzieją? Jaki miał Pan stosunek do przemian ustrojowych w kraju i zakończenia działalności emigracji niepodległościowej w jej ówczesnym wydaniu?

Entuzjastycznie.

Jak następnie – od początku 1991 roku – wyglądało Pana funkcjonowanie w RPA już poza formalnym umocowaniem w roli Delegata? Minister Spraw Emigracji Artur Rynkiewicz pisał w 1990 roku do wszystkich Delegatów Rządu RP na Uchodźstwie, że: „Rząd RP odradza Delegatom współpracę z polskimi placówkami dyplomatycznymi aż do wyboru Prezydenta oraz pełnego Sejmu i Senatu z wolnych wyborów”. Jak zatem wyglądały Pana relacje w kolejnych latach – w Pana przypadku z powstałą w 1993 roku Ambasadą RP w Republice Południowej Afryki?

Byłem zaproszony na obiad przez pierwszego Ambasadora RP w RPA⁴. Nie było absolutnie spornych punktów w naszej przyjacielskiej rozmowie. Byliśmy szczęśliwi z wydarzeń ostatnich miesięcy w Kraju i ufni, że Kraj nasz się teraz szybko przebuduje politycznie, ekonomicznie i w stosunkach międzyludzkich na miarę europejską.

4. Pierwszym Ambasadorem III RP w RPA był Stanisław Cieniuch.

Czy po zakończeniu pełnienia przez Pana misji Delegata Rządu RP i Skarbu Narodowego nowe władze w Warszawie wykorzystały Pana wiedzę, znajomości i kontakty, aby budować dobre imię Polski w RPA? Czy III RP skorzystała z Pana doświadczeń, aby wspólnie realizować różne przedsięwzięcia społeczno-kulturalne, wpływać na wymianę gospodarczą czy relacje pomiędzy oboma państwami?

Nie miałem żadnych rozmów na ten temat.

W 2002 roku został Pan odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi w działalności polonijnej. Czy ma Pan poczucie, że III RP – państwo polskie – wystarczająco doceniła Pana wkład pracy na emigracji? Pytając szerzej: czy uważa Pan, że III RP odpowiednio doceniła zasługi emigracji niepodległościowej w RPA?

Może było to aż zbyt wiele. Okres mojego zaangażowania był krótki i nie wymagał wiele czasu. Jestem szczęśliwy z odznaczenia i z możliwości dania od siebie czegoś pozytywnego dla mojego Starego Kraju.

Bardzo dziękuję za rozmowę!

Dziękuję, pozostaję z poważaniem.



 **Stanisław Gebhardt** – (ur. w 1928 roku) – polityk, ekonomista, działacz emigracyjny. W trakcie II wojny światowej członek Szarych Szeregów i Armii Krajowej, więzień obozu Gross Rosen i Mauthausen Gusen. Absolwent Polish University College w Londynie i Sorbony w Paryżu. Od 1946 roku działacz Stronnictwa Pracy, m.in. członek Prezydium i ostatniego Komitetu Wykonawczego na Uchodźstwie do 1989 roku. Współorganizator Zjednoczenia Młodzieży Chrześcijańsko-Społecznej na Uchodźstwie. W latach 1951–1953 był członkiem Parlamentu Młodzieży Europejskiej. Działał w Międzynarodowej Unii Młodych Chrześcijańskich Demokratów i współorganizował Radę Polityczną Młodzieży NATO. W latach 1954–1959 był sekretarzem generalnym Sekcji Młodych Chrześcijańskiej Demokracji Unii Europy Środkowej z siedzibą w Paryżu. Od 1962 do 1973 wchodził w skład władz Międzynarodowej Unii Młodych Chrześcijańskich Demokratów (sekretarz generalny w latach 1962–1968). W latach 1962–1976 współorganizował centrum studiów problemów działania systemu demokratycznego i zagadnień międzynarodowych w Rzymie pod nazwą *Esperienze Internazionali*. W latach 1990–1995 pełnił funkcję wiceprezesa Chrześcijańsko-Demokratycznej Unii Europy Środkowej w Bratysławie, a także w latach 1991–1995 wiceprezesa Światowej Unii Chrześcijańskich Demokratów w Brukseli. Od 2020 roku przewodniczący Rady Programowej Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego.

Zamiast wprowadzenia...

Stanisław Gebhardt urodził się w Poznaniu, gdzie jego ojciec pełnił służbę jako lekarz wojskowy. W latach 30. XX wieku przeprowadził się wraz z mamą i siostrą do Krakowa, na skutek śmierci ojca, którego nie udało się uratować po niezagojeniu ran odniesionych w wojnie polsko-bolszewickiej, w której brał udział. II wojna światowa zastała Stanisława Gebhardta w Łodzi, gdzie przebywał u wujka – naczelnego lekarza Szpitala im. Prezydenta Narutowicza. Po wybuchu wojny wrócił on jednak do Krakowa, po ewakuacji z Łodzi, która zakończyła się powrotną trasą w tym samym kierunku z Kowla na skutek wejścia Armii Czerwonej. W Krakowie wrócił do rodzinnego domu, z którego ostatecznie cała rodzina została eksmitowana przez gestapo. Następnie, już w 1940 roku, mama Stanisława Gebhardta zorganizowała mieszkanie po zmobilizowanym oficerze rezerwy. Rodzina pochodzenia żydowskiego zrezygnowała z niego celem przeprowadzenia się do bezpieczniejszego miejsca. W trakcie wojny, ze względu na przerwanie nauki, mama Stanisława Gebhardta załatwiła mu zajęcia w zakładzie rentgena w Ubezpieczalni Społecznej w Krakowie, gdzie pracował do 5 godzin dziennie. Poza tym uczęszczał na tajne komplety organizowane przez gimnazjalnych nauczycieli. W tym okresie Stanisław Gebhardt zaangażował się w prace konspiracyjnego harcerstwa podejmując różne akcje, tzw. małego sabotażu. Dzięki pracy w Instytucie Rentgena otrzymał pierwszy dowód osobisty – kennkartę – który ułatwiał poruszanie się po mieście i organizowanie dywersji. Poprzez działalność w Szarych Szeregach trafił w 1943 roku do Armii Krajowej, na mocy decyzji o włączeniu jego oddziału harcerskiego do regularnych oddziałów największej polskiej organizacji konspiracyjnej.

Stanisław Gebhardt nie miał wówczas ukończonych 16 lat i aby skutecznie włączyć się w prace AK – dodał sobie 3 lata, dlatego w niektórych papierach jako data jego urodzenia figuruje 1925 rok.

Działając w konspiracji w AK Stanisław Gebhardt brał udział w różnych akcjach w Krakowie i Murzasichlu. Zaangażowany był również w prace wywiadowcze związane z gromadzeniem i opracowywaniem informacji. W lipcu 1944 roku – podczas masowych aresztowań przez Niemców – Stanisław Gebhardt został aresztowany w dość przypadkowych okolicznościach. Nocował wówczas u siostry Zofii, a Niemcy zorganizowali „łapankę” przypadkowych osób zamieszkałych w tej okolicy. W sumie aresztowano około 1000 osób, które przetransportowano do obozu w Płaszowie, wówczas koło Krakowa. Następnie przesłuchano Stanisława Gebhardta w więzieniu na Montelupich i skierowano do obozu Gross-Rosen. Tam pracował przymusowo w powstającej fabryce Kruppa. W styczniu 1945 roku wysłano transport więźniów z Gross-Rosen „wagonami śmierci” do obozu w Mauthausen-Gusen. Tam dojechał kompletnie wycieńczony i trafił do rewiru chorych. Pobyt w obozie był dla niego jednym z najtrudniejszych doświadczeń w życiu. Wyzwolenie obozu przez Amerykanów w maju 1945 roku rozpoczynało nowy rozdział w życiu Stanisława Gebhardta, który pociągiem przez Budziszyn i Katowice wrócił do rodzinnego Krakowa. Następnie w okresie lat 1945 i 1946 przechodził rekonwalescencję w Zakopanem, zdał egzaminy i otrzymał „małą maturę” oraz – czekając na rozpoczęcie liceum – wyjechał do Wrocławia, gdzie był zaangażowany w podrabianie kenkart dla Polaków repatriowanych ze Wschodu, osiadłych we Wrocławiu. Tam też widział dla siebie szansę na rozwój zawodowy poprzez otworzenie własnej apteki, co jednak nigdy nie nastąpiło, gdyż w roku 1946 komuniści zaczęli coraz intensywniej poszukiwać osób z wojennej konspiracji.

1. Wprowadzenie zostało napisane na podstawie wywiadu przeprowadzonego ze Stanisławem Gebhardtem w dniu 19.08.2021 roku we Wrocławiu, oraz dwóch artykułów: S. Gebhardt, *Międzynarodowe organizacje chrześcijańsko-demokratyczne*, [w:] *Materiały do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego 1945–1990*, t. IV, *Akcja Niepodległościowa na terenie międzynarodowym 1945–1990*, red. T. Piesakowskiego, Londyn 1999, s. 115–139; tenże, *Działalność na forum międzynarodowym*, [w:] *Świadectwa – Testimonia*, t. IV, *Polityczna, społeczna i kulturalna działalność Polaków w Rzymie w XX wieku*, red. E. Prządki, Rzym 2006, s. 259–322.

Rozmowę z prof. Stanisławem Gebhardtem rozpoczęliśmy od cezury roku 1946, kiedy to podjął decyzję o wyjeździe z Polski.

[Michał Dworski ■ Bartosz Czajka] Emigracja rozpoczyna się dla Pana Profesora od momentu, kiedy okazało się, że nowe władze komunistyczne w kraju – a precyzyjnej ich służby – trafiły na trop grupy konspiracyjnej, w której Pan był zaangażowany...

[Stanisław Gebhardt] Dokładnie. W pewnym momencie okazało się, choć nie wiem czy to była prawda, czy pogłoska jedynie – że zaczyna ją nam deptać po piętach. Czuliśmy, że tutaj zaczyna być bardzo źle. Docierały do nas informacje o tym, że służby nas szukają, ale prawdopodobnie bez powodu. Oczywiście w trakcie wojny wszyscy byliśmy zaangażowani. Różne rzeczy robiliśmy w dobrej wierze i nie były to jednak akcje przeciwko komunistom polskim, ale to nie było po ich myśli. Może... Tam nie było żadnej myśli. W tej esbeckiej historii nie było żadnej myśli...

Pach... To wystarczyło, że my nie jesteśmy ich.... To najgorsza rzecz, dramat – na głupotę nie ma lekarstwa. Byliśmy poszukiwani za to, że działaliśmy w AK przeciwko okupantowi niemieckiemu. Tragiczny sowiecki system.

Wobec tego jakie myśli się w Panu rodziły? Jaka była decyzja – zostawać czy wyjeżdżać?

Co my zrobimy? Zadawaliśmy sobie to pytanie. W naszej grupie, czyli wśród pięciu osób – dwie dziewczyny i trzech mężczyzn – była moja serdeczna koleżanka Pyzia. Zorientowała się w sytuacji i powiedziała, że ma rozwiązanie. Wskazała na Francuza, który przebywał w Polsce i organizował przerzut ludzi na Zachód. Były to nielegalne wyjazdy organizowane pod jakimś płaszczkiem oficjalnym. Dlaczego? Otóż, Francuz ten był związany z francuską misją repatriacyjną w Polsce. Francuzi albo ludzie zatrudnieni przez Francuzów przymusowo u nas w kraju, którzy chcieli wrócić do Francji, mieli dzięki tej misji

taką możliwość. Odbywało się to na podstawie francuskich pozwoleń – przepustek. Gdy trafiliśmy do tego Francuza powiedział nam, że wspomniana misja francuska nie posiadała w tym czasie więcej wolnych przepustek, które mogłyby służyć do nielegalnych przerzutów ludzi. Zarówno szef misji oraz oficjalni przedstawiciele Republiki Francuskiej nie wiedzieli, że Francuz organizujący przerzuty nielegalnie miał z tego zyski i prawdopodobnie dzielił się nimi z kilkoma osobami. To kosztowało około 100 dolarów.

Ogromne pieniądze.

Na ówczesne czasy to fortuna.

Udało się?

Zainteresowanych tym nielegalnym wyjazdem było czterech facetów i moja koleżanka Pyzia. Jeden z mężczyzn, z tej grupy, był grawerem robiącym różne płyty do druku. Zaproponował pomoc, aby podrobić te jednorazowe przepustki, ale bez informowania Francuza o źródle pochodzenia oficjalnych papierów. Powiedział jednak Francuzowi, że może mu pomóc dostarczyć takie dokumenty – z niby – własnych francuskich źródeł.

Francuz, przemycający ludzi, powiedział, że gdy będzie miał takie dokumenty, to wówczas pod egidą misji przewiezie te osoby do Niemiec Zachodnich.

Nasz grawer powiedział więc, że potrzebuje za taką przysługę 5 miejsc w transporcie na 80 osób, które Francuz miał do dyspozycji w ramach tej akcji.

Czyli udało się Panu wtedy dotrzeć do Niemiec Zachodnich, a konkretnie do zachodnioeuropejskich zon okupacyjnych.

Skierowano nas przez Pragę do Norymbergi. Amerykanie zaopiekowali się królewsko całą naszą grupą. Wskazano nam wówczas, że to

dzisiaj o 11 w nocy jest bezpośredni pociąg do Paryża i jutro przed południem możemy być we Francji. Mówili, że podczepią nasze wagony do tego pociągu. Jaka była moja reakcja? Blady strach. Nie odpowiadało nam to rozwiązanie, bo wówczas nasze oszustwo mogłoby wyjść na jaw. Jak dojechałbym do Francji, to władze francuskie mogłyby mnie deportować do Polski. Okazało się, że osoby z tego nielegalnego transportu miały znajomych w Niemczech, które odbierały ich z Norymbergii. Widziałem więc, że poszczególne osoby znikają – podjeżdżają po nich znajomi czy rodzina. Pyzia też zniknęła. Ja i jeszcze kilka innych osób – dzięki wsparciu żon oficerów polskich z kompanii wartowniczych – zostałem przewieziony do Murnau.

Dawny obóz jeniecki dla oficerów polskich podczas II wojny światowej.

To było z Norymbergi stosunkowo niedaleko. Późną nocą dotarliśmy do obozu, do którego nie chciano nas wpuścić. Ale po głupiej gadce – powiedziałem, że jestem plutonowy podchorąży i tak dalej, pokazałem jakieś dokumenty i po salutowaniach ktoś po nas przyszedł z władz obozu. Wpuszczono nas. Dostaliśmy pokój.

Rano poszliśmy do sekretariatu i okazało się, że jegomościem, który był szefem punktu kontroli ludzi – tak zwanej bezpieki polskiej – był major Jan Jurek. Był on zawodowym oficerem. Kontrolował bezpieczeństwo w obozie, ponieważ to była placówka – misja II Korpusu, która przyjmowała do jednostki kolejne osoby.

Interesująca historia, bo ja spotkałem kiedyś majora w Krakowie po wojnie, a także widziałem go, kiedy mnie aresztowano i skierowano do Płaszowa. Gdy mnie zobaczył w Murnau, powiedział mi: ja ciebie znam! I tak się stało, że dzięki niemu trafiłem z Murnau do Głównej Kwatery II Korpusu we Włoszech. Skierowano mnie do Brindisi – do polskiej bazy, która w trakcie wojny współpracowała z AK. Okazało się jednak, że po moim przyjeździe placówka ta była w likwidacji. Postanowiłem powędrować do Ankony, do wspomnianej Głównej Kwatery II Korpusu. Przyjechałem tam autostopem,

sam... Nie wiedziałem, co robić, ale zgłosiłem się do komisji weryfikacyjnej AK przy II Korpusie. Przywiozłem wiele dokumentów i konie zabawy, panie Stanisławie.

Co robić dalej...

Miejscowi Polacy mówili mi, że Anglicy już zabraniają przyjmować dodatkowe osoby do siebie. Skierowano mnie do dużego obozu w Trani, koło Bari, bo tam było wiele młodzieży z polskich sił zbrojnych i z AK. Tam też powstało Gimnazjum i Liceum Korpusu Kadetów utrzymywane i prowadzone przez II Korpus. Szefem tej placówki został kapitan Ostrowski, którego zostałem adiutantem. To już było inne życie. Mogłem odetchnąć...

Kolejny przystanek Szkocja.

Następnie popłynąłem z Neapolu do Glasgow. Po kontroli paszportów miejscowe Polki zapytały nas, gdzie są te dzieci, które miały przybyć do Szkocji. To miały być dzieci z polskich szkół we Włoszech. Wyjaśniliśmy tym paniom, że to my. Zabawna historia. Wówczas było dużo małych dzieci i panie nie były przygotowane na starszą młodzież. Według planów mieliśmy zostać pod Glasgow, ale okazało się, że przenoszą nas do hrabstwa Norfolk, do obozu koło miasteczka Thetford. Tam znowu znaleźliśmy się w Szkole Kadetów, choć później rozpoczął się proces tworzenia powszechnych, jednolitych, szkół polskich. I została stworzona dla nas szkoła, aby można było ukończyć gimnazjum i liceum – nazywało się to *Riddleworth Polish College*, a następnie Liceum im. Mikołaja Kopernika.

Dziewczęta zostały zabrane do innego obozu i tam miały zorganizowane szkolnictwo. Ci najmłodszy poszli do angielskich szkół, gdzie wprowadzono lekcje języka polskiego (3 godziny tygodniowo) i historii Polski (2 godziny tygodniowo). Przebywałem w tym miejscu około dwu lat. Tam zrobiłem liceum i maturę. Następnie, jako członek

Polskiego Korpusu Przynsposobienia i Rozmieszczenia² oczekiwałem na demobilizację i pójście do życia cywilnego. Nasza szkoła w 1948 roku została zlikwidowana, a ja zgodnie z rozkazami wojskowymi zostałem w tym samym roku zdemobilizowany. I znowu padło pytanie co robić...

Został Pan w Wielkiej Brytanii.

Tak, udałem się do Londynu. Do miasta. Miałem tam 6 dni na rozglądnięcie się i znalazłem po drugiej stronie Hyde Parku dom Polaków, którzy kupili sobie tę nieruchomość w trakcie wojny. Dom był wynajmowany na pokoje dla studentów. Wynajmowałem tam miejsce w trzyosobowym pokoju. Mieliśmy łóżka, szafy, kominek i przesiadzieliśmy tam parę miesięcy.

Ten okres związany był również z podjęciem pierwszej pracy w Londynie.

Nie miałem z czego żyć. Wynajem kosztował 15 szylingów od osoby, ale światło i ciepłą wodę trzeba było dodatkowo opłacić. Wrzucaliśmy szylingówki do specjalnych automatów. W samym domu i w innych obok była masa znajomych. Studenci i młodzi ludzie – Polacy. Był tam ze mną góral – „Mietek” Mieczysław Kempka. On nie dostał się na studia, choć był bardzo zdolny. Jeszcze o nim powiem, ale nie udało mu się i zastanawiał się co robić. Znalazł pracę w gastronomii u „Lionsa” – w obsłudze klientów. Z kolei ja dostałem posadę, jako portier w Hyde Park Hotel.

Jednak trochę byłem zagubiony w tym wszystkim. Wszystko mi się urwało, nagle, to był inny świat. Świat fikcji, bo my zostaliśmy wyrwani z tej naszej wojny. Nie mieliśmy nic, żadnych perspektyw.

2. Polski Korpus Przynsposobienia i Rozmieszczenia (ang. *Polish Resettlement Corps*) – korpus Armii Brytyjskiej przeznaczony dla przynsposobienia zdemobilizowanych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (PSZ) do życia cywilnego i rozmieszczenia ich na terytorium Wielkiej Brytanii lub poza jej granicami.

Musieliśmy przeżyć ten moment załamania. I przeżyliśmy. To było jednak trudne i przykre...

Oprócz „Mietka” mieszkał z nami Henryk Kręcioch. Pochodził z Rabki-Zdroju. Został przyjęty, jako czeladnik w zakładzie fryzjerskim. Henryk chciał pójść na studia dające wiedzę w dziedzinie fryzjerstwa i kosmetyki. Okazało się, że jego matka była we Francji od 1940 roku i chciała, aby do niej przyjechał. Nie spodobało mu się we Francji i wrócił na stałe do Londynu.

A Pan oprócz pracy, jako portier, jak ułożył sobie pierwsze miesiące życia w Londynie?

Udało mi się dostać na studia. Dostałem stypendium – po kilku miesiącach – na Wydział Ekonomii Uniwersytetu Londyńskiego. Był to Polish University College³, jako część tej uczelni. W 1949 roku uzyskałem angielskie świadectwo maturalne i zdałem specjalny egzamin. Dzięki temu dostałem się na studia. Wspomniany „Mietek” nie dostał się na wybrane przez siebie kierunki i później skończyło się to tragicznie...

Dlaczego?

O naszej trójce dowiedziały się władze Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość rezydujące w Londynie. Każdy z nas był inny, ale mieliśmy jakieś elementy pracy, które im odpowiadały i były pożądane. Powiedzieli nam, że potrzebują kurierów, aby wyjechać do Polski zebrać i dać im informacje...

Ja miałem studia, Henryk też się nie zgodził, a „Mietek” zrobił ten krok. To były rzeczy, którymi myśmy żyli i one nie były dla nas trudne,

3. Polish University College – polska uczelnia działająca w latach 1947–1953 w Londynie przy Uniwersytecie Londyńskim, której celem było zawodowe przygotowanie żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych pozostałych na emigracji po zakończeniu II wojny światowej. Uczelnia funkcjonowała w brytyjskim systemie szkolnictwa wyższego – nie miała prawa wydawania polskich dyplomów.

jeśli chodzi o realizację zadań konspiracyjnych. Dlatego „Mietek” pojechał, choć my byliśmy niezadowoleni. Bo organizacja tego kursu nie była przygotowana. Punkty, które miał odwiedzać, były podejrzane. I tak też się stało. Gdy już był na tej trasie – w pewnym momencie zorientował się, że go śledzą. Zauważył, że to wszystko co on robi, jest kontrolowane więc samowolnie zmienił drogę swojej misji.

Gdy ostatniego dnia miał przekroczyć granicę zony z Polską, wydarzył się wypadek. Gdy miał do przejścia ostatnią drogę, aby wejść na teren Niemiec zorientował się, że komuniści wiedzą, że może być w tym obszarze. Przypadkowo aresztowali jakiegoś człowieka – nie-szczęśnika, którego zamordowali. „Mietek”, widząc to, wrócił i zaczął strzelać do funkcjonariuszy UB. Zrobił im trochę krzywdy. Na drugą noc nie szedł nigdzie, a na trzecią noc go złapali. Nie udało mu się przekroczyć granicy. Trafił do więzienia, a po wyjściu nie chciał na ten temat rozmawiać z nikim.

Ta jedna mała historia wpisuje się w szerszy krajobraz tego, co później nazwano aferą Bergu.

To było moje przekonanie. Ja wtedy powiedziałem „Mietkowi”, że jak to zrobi, to mu nie pomogę. Odmówiłem, bo nie musiałem – miałem studia. Henrykowi też powiedziałem, aby odmówił... Dlaczego WiN w taki sposób działał i dlaczego organizował takie akcje?

Dwa elementy trzeba wziąć tutaj pod uwagę. Emigracja, która uciekła w 1939 roku, szczególnie Ci związani z reżimem przedwojennym – po wojnie znaleźli możliwość odbicia się. Bo jak tutaj przystąpią do nowej fali emigracji, to nikt im nic nie powie...

Wielu z nich przystąpiło do służby z nowym systemem kontrwywiadu dla wewnętrznego użytku. Pracowali dla normalnej służby wywiadowczej, dla różnych oddziałów polskich, w tym dla WiN-u. I w taki sposób prowadzona była ta działalność.

Drugi element – możliwość życia. Po prostu...

Jeśli jesteśmy już w „polskim” Londynie, to nie sposób nie dopytać o Pana początki działalności publicznej. Od kiedy związał się Pan ze Stronnictwem Pracy?

Gdy w 1945 roku wróciłem do Krakowa, to powiedziano mi, że na ulicy Szlak – gdzie dawnej była moja szkoła – jest Stronnictwo Pracy. Poszedłem tam i wskazali mi, czym mógłbym się zająć i miałem przeprowadzić grupę młodych osób. Mówiłem, że jak wrócę z Zakopanego z tej rekonwalescencji, to się zgłoszę i nigdy się nie zgłosiłem... Taki był początek.

Ale na emigracji się udało.

Tak, później, jak byłem w liceum w Wielkiej Brytanii, to tam istniały różne obozy polskie – wojskowe i cywilne, gdzie wiele rozmów politycznych się odbywało. Pamiętam, że jeszcze w obozie Mauthausen odbywały się dyskusje, jak powinna najlepiej wyglądać struktura państwa. Więc to wszystko miało miejsce.

Gdy zacząłem studiować, to na mojej uczelni – na Wydziale – powstała grupa chrześcijańsko-społeczna Polaków. Oni mówili, jej założyciele, że musimy zgłosić się do takiego i takiego ministra i trzeba go poprosić o „błogosławieństwo”. Ale ja dopytywałem dlaczego, w jakim celu jest nam potrzebny minister. Uważałem, że on jest niepotrzebny, to jest Stronnictwo. Mówiłem im, że aby mieć ministrów trzeba wygrać wybory. Na co mi odpowiedziano, że jestem „gówniarz” i nie tak funkcjonuje system demokratyczny. O, bracie! Podziękowałem serdecznie... takie to były początki.

To gdzie Pan się zaangażował?

Powstała kolejna grupa: Związek Młodzieży Chrześcijańsko-Społecznej. I znowu była tam rozmowa, że trzeba się podporządkować Prezydentowi i Rządowi RP. Mówiłem im: kochani stwórzmy organizację,

aby przygotowywała nas, tych którzy ewentualnie chcą wrócić do Polski, do tego, aby rządzić i administrować. A jak nie, to przynajmniej wnieść do Polski wiedzę, jak administrują za granicą kraje demokratyczne. Ale do tego ministrowie nam są niepotrzebni...

Chcieliśmy stworzyć naszą londyńską historię – opierało się to na kanwie towarzyskiej. I nagle w 1949 roku dowiedziałem się od Bolesława Biegi, że we Francji jest grupa Polaków, która chce zrobić zjazd młodzieży chrześcijańsko-demokratycznej razem z tą pierwszą londyńską grupą legalistów. Wspomniałem, że może my byśmy się tam dostali, jako trzeci? Nie udało się. Obeszło się na razie bez nas..., ale po jakimś czasie nas do tego grona doproszono. I wspólnie stworzyliśmy Zjednoczenie Chrześcijańsko-Społecznych Organizacji Młodzieżowych. Tutaj był pierwszy konflikt z działaczami Stronnictwa Pracy.

Polegający na czym?

Na niezrozumieniu. Biega⁴ mówił, że sobie damy radę z działaczami Stronnictwa Pracy. Podkreślał, że nasza droga jest właściwa dla zjednoczenia. W tym momencie pojawiali się działacze, którzy uważali, że my poddaliśmy się legalistom, którzy są bankrutami. Ja uważałem, żeby to tak zostawić. Bo ja chciałem coś zrobić i miałem pewien багаż ideologiczny, na bazie różnych dokumentów wojennych związanych z osobami z ruchów chrześcijańsko-społecznych.

4. Bolesław Józef Biega (1896–1976) – polski dyplomata, działacz emigracyjny związany ze Stronnictwem Pracy, wydawca, dziennikarz. Podczas II wojny światowej był sekretarzem Rady Jedności Narodowej. Po wojnie pozostał na ziemiach polskich tworząc strukturę Stronnictwa Pracy i współpracując ze Stanisławem Mikołajczykiem. Wyemigrował w 1948 roku. Działał w ramach Polskiego Komitetu Narodowego we Francji i Stanach Zjednoczonych. Został członkiem polskiej delegacji powołanego w 1954 Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarzmionych (ACEN), w jego ramach przez 16 lat był szefem komitetu dla spraw socjalnych i ekonomicznych. W 1954 roku Bolesław Biega był jedną z osób, która rozpoznała Józefa Światło, byłego funkcjonariusza UB, który uciekł na Zachód. W 1958 roku został członkiem Polskiej Rady Jedności, a w latach 1964–1970 był prezesem oddziału tej organizacji w Stanach Zjednoczonych. W 1971 roku, po wypadku, wycofał się z życia społeczno-politycznego.

Jak zatem wyglądały Pana relacje z działaczami Stronnictwa Pracy?

Relacje osobiste miałem ze wszystkimi, choć inni nie mieli. Prezes Popiel⁵, na przykład, nie miał. Bolesław Kuśnierz⁶ po czasie zabiegał i nawiązał z Popielem kontakt. Przeprowadził część osób do Stronnictwa Pracy Popiela.

A Stronictwo Pracy Stanisława Sopickiego, czyli Komitet Zagraniczny SP?

Sopicki⁷ był zupełnie wykluczony. Wykluczył się troszkę sam. Miał inna wizję. Mesjańską, że tutaj nie ma co szukać rozwiązań i trzeba się modlić. Nie traktowałem go poważnie.

5. Karol Popiel (1887–1977) – polski polityk chadecki i pisarz, żołnierz Legionów Polskich, Poseł na Sejm I kadencji w II RP, działacz Narodowego Związku Robotniczego, więzień polityczny twierdzy brzeskiej, od 1936 roku związany z opozycyjnym wobec rządów sanacyjnych Frontem Morges. Podczas II wojny światowej pełnił kolejno funkcje ministra sprawiedliwości (1941–1942), ministra bez teki (1942–1943) oraz ministra odbudowy administracji publicznej (1943–1944) w rządach Władysława Sikorskiego i Stanisława Mikołajczyka, w latach 1937–1939 oraz 1945–1946 był przywódcą krajowego Stronnictwa Pracy. Od 1947 na emigracji, gdzie kontynuował działalność społeczno-polityczną w środowiskach chrześcijańsko-demokratycznych.

6. Bronisław Kuśnierz (1883–1966) – polski prawnik, działacz polityczny w kraju i na emigracji. Poseł na Sejm II kadencji w II RP, minister sprawiedliwości RP (1944–1949). Od 1937 roku należał do Stronnictwa Pracy, gdzie był członkiem Rady Naczelnej i Zarządu Głównego. Ponadto pełnił funkcję prezesa Zarządu Wojewódzkiego partii w Krakowie. Zmobilizowany w sierpniu 1939 roku, we wrześniu przekroczył granicę polsko-rumuńską i został internowany. W latach 1940–1942 służył w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich w Palestynie i Egipcie. W 1942 roku został członkiem Zarządu Głównego Stronnictwa Pracy i z jego ramienia członkiem II Rady Narodowej RP. Był przeciwnikiem polityki Karola Popiela, akceptującej postanowienia jałtańskie, i we wrześniu 1945 został prezesem Komitetu Zagranicznego Stronnictwa Pracy. Był związany z Radą Polityczną i Tymczasową Radą Jedności Narodowej, popierając Akt Zjednoczenia. W 1965 roku podpisał porozumienie o zjednoczeniu ze Stronnictwem Pracy Karola Popiela.

7. Stanisław Sopicki (1903–1976) – polski polityk chadecki, dziennikarz, działacz emigracyjny. Przed wybuchem II wojny światowej był związany z Polskim Stronnictwem Chrześcijańskiej Demokracji, a następnie Stronnictwem Pracy. Po wybuchu

Była jeszcze grupa generała Hallera⁸.

On był wówczas bardzo stary. To była postać do „patrzenia”. Nie nadał się do niczego, zupełnie. Ja chciałem go ożywić. Przychodziłem do niego w Londynie, ale nie było rozmowy o konkretach. To nie było na żaden temat... szkoda.

Z tego co wiem – jak poznałem Hallera, to był już dość zaawansowany mentalnie. Ja sobie wyobrażałem, że on był wielkim działaczem, ale... on się zajmował patronowaniem harcerzom. On powinien coś budować, tworzyć stronnictwo albo wojsko, a nie angażować się w taki wolontariat, jak harcerstwo. Jego towarzysze, którzy chcieli, aby prowadził stronnictwo, go podbudowywali. On wierzył w to. Ale co z tego wychodziło?

II wojny światowej udało mu się dostać do Londynu, gdzie w latach 1942–1944 był członkiem II Rady Narodowej RP. Od lipca do grudnia 1943 roku pracował jako redaktor naczelny *Dziennika Polskiego* i *Dziennika Żołnierza*. W 1944 roku został ministrem odbudowy administracji publicznej w rządzie Tomasza Arciszewskiego. W 1945 roku, tak jak Bronisław Kuśnierz, sprzeciwił się polityce Karola Popiela, który próbował podjąć legalną działalność w Polsce. W następstwie tego został jednym z liderów Komitetu Zagranicznego Stronnictwa Pracy. Ministrem odbudowy administracji publicznej był także w kolejnym gabinecie sformowanym przez Tadeusza Komorowskiego (1947–1949). Był członkiem III Rady Narodowej RP (1949–1950), a w latach 1950–1952 ministrem skarbu w rządzie Romana Odzierżyńskiego. Od września 1951 należał do grupy polityków Stronnictwa, która popierała politykę Prezydenta Augusta Zaleskiego. W 1954 roku poparł zjednoczenie polityczne emigracji i został członkiem Komisji Porozumiewawczej Stronnictw i Ugrupowań, a następnie Tymczasowej Rady Jedności Narodowej (do 1961 roku). Od 1956 roku należał do władz zjednoczonego ponownie Stronnictwa Pracy. W 1959 został usunięty z partii, z uwagi na różnice na tle stosunku do zjednoczenia politycznego emigracji. W 1960 założył grupę Stronnictwo Pracy-Komitet Zagraniczny. W kolejnych latach pozostawał czynnym publicystą. Był członkiem władz Instytutu Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii.

8. Generał Józef Haller był prezesem jednego z odłamów Stronnictwa Pracy – Zarządu Głównego na Wychodźstwie. Pozostałe dwa środowiska to Stronnictwo Pracy Karola Popiela oraz Komitet Zagraniczny Stanisława Sopickiego.

Poza „polskim” Londynem ważną rolę dla chrześcijańskich-demokratów pełnił Karol Popiel i środowisko z nim związane na terenie Stanów Zjednoczonych.

Nie nadawał się do tego – to znaczy do budowania silnego stronnictwa. Prezesowi Popielowi brakowało sekretarza politycznego, który organizowałby struktury. Modzelewski się nie nadawał. Kuśnierz był dobry, ale nie do prowadzenia centralnego stronnictwa. On był dobry w regionie – tak jak przed wojną był szefem Stronnictwa w Krakowie. Płk Modelski, późniejszy generał, nie był zaangażowany w budowę organizacji partii, która miałaby być przygotowana na tłumaczeniu, czym jest nasze stronnictwo i jaki jest nasz program. Ale inni też nie tłumaczyli. Nawet nowo powstałe stronnictwa jak NiD.

Polski Ruch Wolnościowy Niepodległość i Demokracja.

To byli stosunkowo młodzi ludzie, którzy widzieli, że z politykami starszego pokolenia, którzy mają przyzwyczajenia do pewnych zachowań, zwyczajów i wzajemnych usług, nic się nie da zrobić. Chcieli mieć silną strukturę, niezależną. Ukończyli studia w Wielkiej Brytanii i stosowali angielski system zarządzania. Tam było bardzo dużo ludzi z głową na karku. Dobierali sobie dobrych ludzi. Jednak to nie było na system demokratyczny. To nie była próba stworzenia struktur partyjnych i przygotowania kadr do administrowania i reformowania Polski.

Jaki miał Pan stosunek do państwa polskiego – Rzeczpospolitej – na emigracji?

To była wieloletnia dyskusja. Czasem zażarta. Jak przyjechałem do Londynu, to nie byłem przekonany w żaden sposób. Chciałem poznać różne opinie, w tym, jaka jest rola Prezydenta RP. Uważałem, że jest to symbol, a Rząd mnie śmieszył. Tu się zaczęła moja dyskusja na różnych szczeblach. Uważałem, że w tej sytuacji powojennej nie ma

szans, aby jakikolwiek kraj demokratyczny uznał fikcyjny rząd, który nie ma możliwości zdobycia władzy.

Ale jeśli chodzi o Prezydenta to moje nadzieje były zawiedzione. Generał Anders, gdy objął stanowisko Naczelnego Wodza, to dawało mu to autorytet. Wtedy sam Anders budził ogólne poważanie i sympatię. Byłem raz z Henrykiem Kręciochem u niego w domu. Przyjął nas dość sympatycznie. Byłem tym zaskoczony, że on rozmawiał z nami o rzeczach konkretnych. Interesował się wszystkim. Nie był kapusiem wojskowym. Pozytywnie mnie to uderzyło. Jego wystąpienia były ogromnie powściągliwe. I... jakby się wahał w różnych momentach.

Był uwięziony w klatce londyńskiej. Jako wojskowy, aby mieć oddech w Europie Zachodniej, musiał mieć kontakt z kolegami z innych krajów. Kontaktu tego nie miał. Miał kontakty z Amerykanami, ale nie z wojskowymi bezpośrednio, tylko z wojskowymi przez kontakty polityczne. Uważałem, że Anders mógł zostać swobodnie Prezydentem i Naczelnym Wodzem jednocześnie. Czyli to, co istniało w czasie wojny. Mógłby wtedy powołać Radę RP. Działałby nie potrzebując rządu. Rada Narodowa była doskonała i nie wchodziłaby nikomu w drogę. Nie zgadzałem się z głosami, aby Anders nie mógł akumulować tych dwóch stanowisk. Potem, gdy powstała Rada Trzech, to mogła powstać Rada Jednego, Andersa.

Tak się jednak nie stało – August Zaleski nie chciał utrzymać gen. Andersa jako swojego następcy, pomimo jego wyznaczenia i wyrażenia takich deklaracji. Później rozłam roku 1954 skutecznie oddalił gen. Andersa od Prezydentury.

Sanacyjny trzon. Dawni sanatorzy. Zaleski był jedynym gwarantem, a Sosnkowski był drugim. Nieudana ostatnia próba przywrócenia przez całe towarzystwo idei wielkiego marszałka z powrotem do życia. Ja dlatego to tępiłem i tłumaczyłem, że to niewłaściwa droga. Robić z jednostek szefów państwa bez zaplecza.

Myślałem, aby Anders został Prezydentem. Nie miałem co do tego absolutnie wątpliwości. Nie dlatego, że byłby dobrym Prezydentem. Może on pewnych rzeczy nie rozumiał. Ale był na pewno uczciwym człowiekiem. On też nie lubił wojskowych w polityce i bronił się przed tymi funkcjami politycznymi rękami i nogami. On byłby jednak najlepszy do tej funkcji.

Nie wszyscy tak uważali.

Reszta szalała. Szaleli zwłaszcza ludowcy. Podpaleni zupełnie. Wilk Franek⁹, co on wyprawiał...

Mieszkałem niedaleko Wilka, który mnie zapraszał do siebie. Rozmawialiśmy, także o tych sprawach. Jeśli chodzi o ludowców to trzeba wspomnieć o Mikołajczyku. Był upartym szalenie politykiem w kraju demokratycznym. Poza tym, jak się coś działo, on się gubił – gdy nie było demokracji. Ta historia w 1945 roku, jego powrót do Polski i później wyjazd – był odważną sprawą i oddaniem, ale niedobrze zorganizowaną. I mógł to zrobić lepiej, ale on nie chciał dzielić swojej władzy z innymi siłami demokratycznymi. Bo nie mógł myśleć demokratycznie w tej sytuacji. Wiadomo było, że cała sprawa jest przegrana. Tutaj

9. Franciszek Wilk (1914–1990) – polski polityk ludowy i działacz społeczno-polityczny. Przed wojną związany ze Stronnictwem Ludowym, Związkiem Młodzieży Wiejskiej „Wici” oraz Polską Akademicką Młodzieżą Ludową. W czasie konfliktu światowego zaangażował się w działalność antysowiecką w strukturach Rewolucyjnego Związku Niepodległości i Wolności – lewicowej organizacji, utworzonej w 1939 r. we Lwowie przez działaczy SL, PPS, SD i związków zawodowych. W trakcie wojny został aresztowany i skazany na 8 lat łagrów w Republice Komi. Nie udało mu się dołączyć do Armii Polskiej tworzonej w ZSRR, ale dał radę zbiec z obozu pracy przymusowej i dotrzeć do Kujbyszewa przemierzając całą Republikę Kazachską. Następnie wyemigrował do Wielkiej Brytanii, gdzie tworzył struktury PSL od 1949 roku do końca swojego życia. W 1955 roku podczas I Kongresu emigracyjnego PSL, został wiceprezesa partii, czyli drugą osobą po Stanisławie Mikołajczyku, a po jego śmierci, zastąpił go na tym stanowisku w 1968 roku. Od 1944 roku do końca życia wydawał czasopismo „Jutro Polski” – organ PSL na uchodźstwie. Doprowadził do scalenia ruchu ludowego na emigracji i wejścia PSL do Rady Jedności Narodowej w Londynie.

nie było wątpliwości, chodziło o pokazanie większości, była kwestia zorganizowania wyborów. Bardzo trudna sprawa, ale możliwa skądinąd, bo komuniści nie mieli poparcia... To był klucz, te wybory. Nie awantura typu Wilka, tylko działanie.

Powiem jeszcze, że Mikołajczyk, którego poznałem, był absolutnie przekonany, że jedynie w oparciu o USA można w świecie coś dla nas uzyskać.

Wracając do fikcyjności rządu i funkcjonowania państwowości emigracyjnej. Nie zgadzał się Pan z kierunkiem reprezentowanym i realizowanym przez „polski” Londyn.


Uważałem, że podtrzymywanie fikcji jest szkodliwe i nie rozwiązuje niczego. Emigracja niepotrzebnie szukała oparcia w prezydenturze i rządzie, jako jedynych ośrodkach władzy. Stąd też tego Zaleskiego podtrzymywano...

Po wszystkim, w 1990 roku, gdy zaproszono Prezydenta Kaczorowskiego do Warszawy, byłem zaskoczony, że byli komuniści z PZPR są orędownikami tego przyjazdu...

Dobrze znałem Ryszarda Kaczorowskiego i po formalnym przekazaniu władzy Lechowi Wałęsie spotkaliśmy się na Bagateli w Warszawie na rozmowie. Bardzo go ceniłem i lubiłem. Prezydent Kaczorowski był dość prostym człowiekiem, ale oblatanym. Zdawał sobie sprawę z konsekwencji, że to była druga – pierwszej klasy operacja. Ten sam chwyt został zastosowany przy przejmowaniu wyborów przez nową władzę w 1947 roku.

Podsumowując – prezydentura mogła czemuś służyć. Było to przekazanie władzy w przyszłości. I nic więcej... ale tutaj przez cały okres czasu to był ogromny wysiłek, ogromne pieniądze i satysfakcja dla niektórych ludzi.

Bardzo dziękujemy za udzielenie wywiadu.

 **Adam Komorowski** – syn Ireny Komorowskiej z d. Lamezan-Salins oraz Tadeusza Bora-Komorowskiego, Komendanta Głównego Armii Krajowej, dowódcy powstania warszawskiego, Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych, w latach 1947–1949 Premiera Rządu RP na Uchodźstwie oraz członka Rady Trzech (1956–1966).

Adam Komorowski urodził się w 1942 roku w Warszawie. Po wojnie wyjechał wraz z matką i bratem do Wielkiej Brytanii, gdzie ukończył studia i pracował. Interesuje się rock'n'rollem, przez lata prowadził magazyn oraz audycje poświęcone tej muzyce w brytyjskich rozgłośniach radiowych. Nigdy nie przyjął brytyjskiego obywatelstwa. Do Polski powrócił w 2016 roku. Ma czterech synów.

[Bartosz Czajka] Czytając Pana wspomnienia odniosłem wrażenie, że Pański ojciec rzadko wracał do okresu wojny i powstania warszawskiego.

[Adam Komorowski] O latach przedwojennych rodzice prawie nic w domu nie mówili, a o powstaniu to już absolutnie nic. Niestety, ja się wówczas interesowałem dziewczynami, rock'n'rollem i nie przyszło mi do głowy, żeby o to pytać. Potem ojciec raptownie zmarł i było już za późno

Jakie jest Pana najwcześniejsze wspomnienie z tych czasów? Czy pamięta Pan jeszcze Polskę okresu okupacji, jakieś obrazy z powstania?

Pierwszą rzeczą, jaką pamiętam, są płonące budynki w czasie powstania. A drugą jest nasz lot samolotem z Pilzna do Belgii. To też ciekawa historyjka, nie najlepiej może znana. Moja matka ukrywała się przed NKWD na wsi pod Krakowem i zdecydowała, że spróbuje uciec, bo wiedziała, że ojciec po okresie niewoli niemieckiej jest już w Londynie. Wówczas podziemie skontaktowało się z Londynem i pomoc nam miał młody 18-letni ochotnik Johnny Jordan, pilot – nie z RAF, ale on dowoził leki do obozów koncentracyjnych i tym podobne. Alianci nie chcieli, żeby Rosjanie spostrzegli, że tu coś się dzieje, a on już wcześniej latał w te tereny. Moja matka miała kontakt z attaché militarnym – brytyjskim pułkownikiem Perkinsem w Pilźnie.

Wyjechaliśmy pociągiem i na pierwszym przystanku enkawudzista nas wyciągnął na rewizję. Ja z moim bratem najlepiej zachowaliśmy się, bo wrzeszczeliśmy bez końca godzinami i ten enkawudzista się zdenerwował i powiedział: „Ach! Won z tymi bachorami! Niech pani sobie idzie, mam tego dosyć”. Na szczęście dojechaliśmy do Pilzna, matka tam znalazła tego pułkownika Perkinsa i on zorganizował lot. Pamiętam, siedziałem na podłodze (tam nie było żadnych siedzeń), tak trzęsło, że pamiętam do dziś dnia.

Johnny Jordan przywiózł też swojego kolegę, który był zawodowym fotografem i on zrobił zdjęcie, jak się gramolimy do tego samolotu.

I wysłał to zdjęcie do gazety angielskiej „Evening Standard”. Pierwszą noc gdzieś przemocowaliśmy w Niemczech, myślę, że w Düsseldorfie, ale nie jestem pewien. Stamtąd lecieliśmy do Brukseli i w międzyczasie to zdjęcie się ukazało w prasie pod tytułem „Brytyjski pilot przywozi rodzinę generała Bora do Londynu” – a to już działo się w czasie, kiedy w Wielkiej Brytanii był rząd socjalistyczny Clementa Attlee. Oni powiedzieli: „Nie, nie będziemy obrażać wujcia Józia! Ten Komorowski psioczy na naszych aliantów, więc nie, was nie wpuszczamy”. I matka ze mną, i z bratem, i nianią, która z nami pojechała, utknęła. Na szczęście jacyś bardzo mili Belgowie nas przyjęli i się nami opiekowali. Przez około 2 miesiące siedzieliśmy w Brukseli, bo Brytyjczycy nie chcieli nas wpuścić ani ojca wypuścić. Obawiali się, że może połączyć się z generałem Maczkiem i będzie „nacierał na Polskę”.

Jak w końcu udało się przedostać do Wielkiej Brytanii?

Dzięki Irlandczykom. Wtenczas premierem Irlandii był [Eamon] de Valera, on dowiedział się o naszym losie i oficjalnie zaprosił całą rodzinę na stałe do Irlandii. Jak tylko to ogłosił, Brytyjczycy powiedzieli „Nie, nie! W takim razie możecie przyjechać do Londynu”. No i na święta, czy niedługo przed świętami 46 roku, dotarliśmy do Londynu.

Pana ojciec dotarł do Wielkiej Brytanii nieco wcześniej, w maju 1945 roku?

Dokładnie tak. Ten obóz, w którym ojciec był, znajdował się niedaleko szwajcarskiej granicy i reprezentant Czerwonego Krzyża przyszedł i rozmawiał z komendantem, Niemcem, bo oni mieli, zdaje się, rozkazy, żeby wszystkich rozstrzelać, jeśli alianci będą się zbliżali. On go przekonał, żeby uwolnił wszystkich więźniów, bo w innym przypadku czekałaby go kara śmierci. Komendant zdawał sobie z tego sprawę i wypuścił wszystkich. Jest nawet takie słynne zdjęcie, gdzie ojciec z całym sztabem maszerują ulicą, a Amerykanie ich salutują, gdy wchodzą w strefę amerykańską.

Można więc powiedzieć, że Pana ojciec był o krok od śmierci i w tamtym momencie wszystko zależało od komendanta obozu...

Zawsze byłem zdziwiony, że ojciec był nominowany na Wodza Naczelnego w czasie powstania, jak już było wiadomo, że to się źle skończy. Dopiero lata później spotkałem się z członkiem ówczesnego polskiego rządu, który mi wytłumaczył, że obawiali się, iż Hitler każe rozstrzelać ojca i jego podwładnych. Mieli jednak nadzieję, że jeśli nominują go Wodzem Naczelnym, to może Niemcy to uszanują. Tak się jednak nie stało. Hitler i tak skazał go na śmierć. [Hermann] Fegelain, który był mężem siostry Ewy Braun, zadzwonił do [Ericha von dem] Bacha-Zelewskiego, u którego ojciec po upadku powstania poddał się w Ożarowie, z pytaniem: „Kto to jest ten bandyta, ten Bór?”. Zalewski odpowiedział: „A to pan nie wie? To jest ten słynny jeździec przedwojenny, Tadeusz Komorowski”. „Tak?” – odpowiedział Fegelain – „To wspomniały człowiek! To ja zaraz pójde do Hitlera i odwołamy rozkaz”.

Pana ojciec przed wojną miał okazję poznać kilku niemieckich dygnitarzy podczas Igrzysk Olimpijskich. Są nawet zdjęcia, na których Tadeusz Komorowski stoi obok Hitlera i Goebelsa.

Tak, tata był szefem ekipy [jeździeckiej] na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 roku. Wygrali wtedy srebrny medal.

Opowiadał Pan o wypuszczeniu Pańskiego ojca z obozu i jego przybyciu do Wielkiej Brytanii. Z tego okresu zachowało się dużo relacji prasowych, zarówno w emigracyjnej prasie polskiej, jak i w prasie komunistycznej. Oczywiście, były to dwie różne narracje. Tą komunistyczną może pomińmy, natomiast prasa emigracyjna często przedstawiała taki obraz, że Pana ojciec przybywa jako zwycięzca, w momencie kiedy Berlin podzielił losy Warszawy i leży w gruzach, a potęga Niemiec jest złamana. Jak Pan myśli, a może rozmawiał Pan na ten temat z rodzicami, jak czuł się wówczas Pana ojciec? Czuł się zwycięzcą, czy przegranym?

Nigdy na ten temat z nim nie rozmawiałem, ale mam wrażenie że bardzo przeżywał los ludności w czasie powstania. To był jego ciężar. Nigdy od tego nie uciekał i zawsze brał całą odpowiedzialność na siebie, co też nie było sprawiedliwe, bo nie podejmował decyzji samodzielnie. Ale nigdy się tego nie wyrzekał.

Jak więc odbierał to, że Polska niby znalazła się po stronie zwycięzców, jednak na skutek decyzji jałtańskich oddana została de facto Sowietom?

Brytyjczycy nie pozwolili polskim lotnikom brać udziału w paradzie zwycięstwa. A przecież bez nich prawdopodobnie przegraliby Bitwę o Anglię. Pamiętam też rozmowę o Mikołajczyku i jego powrocie do Polski. Uważano, że w pewnym sensie zdradził Polskę i dystansowali się od niego.

A czy Pana tata myślał, że Londyn i Wielka Brytania to jest tylko epizod, liczył na powrót do wolnej ojczyzny i uznanie jej legalnych władz, będących na uchodźstwie?

Mówił mi: „Słuchaj, musisz sobie ułożyć życie w Anglii, bo prawdopodobnie będziesz tu do końca”. Wydaje mi się, że zupełnie nie przewidywał, że kiedykolwiek będzie mógł wrócić do Polski.

Więc był raczej realistą.

Tak.

Ale Pan tak do końca sobie tam życia nie ułożył, bo nie przyjął Pan brytyjskiego paszportu.

Rodzice nie przyjęli, więc brałem z nich przykład. Widziałem, że niektórzy ludzie biorą brytyjskie obywatelstwo, zwykle po to, żeby pojechać odwiedzić rodzinę w Polsce, która nie mogła przyjechać do

Anglii. Rozumiałem to, ale poza siostrą mojego ojca nikt nie pozostał po wojnie w Polsce, więc nie było do kogo wracać. Moja żona z dwójkiem moich synów w latach 70. przyjechała do Polski, ale ja ale ja nie chciałem.

Pana ojciec pełnił w warunkach emigracji różne funkcje, był m.in. premierem Rządu RP na uchodźstwie. Jaki był jego stosunek do władz na uchodźstwie? Wiemy, że z jednej strony był realistą i wiedział, że do Polski szybko nie powrócą, ale z drugiej strony mocno wspierał legalny rząd polski w Londynie.

Uważał, że emigracja ciągle powinna walczyć o niepodległość Polski i sam poświęcił temu resztę swojego życia. Nie miał nadziei, że to się stanie szybko, ale był zdania, że trzeba w takiej sytuacji walczyć. Mimo wszystko.

Środowisko polskiej emigracji politycznej, skupione wokół władz polskich na uchodźstwie, było mocno podzielone, szczególnie po okresie kryzysu, związanego z prezydenturą Augusta Zaleskiego. Jak Pana ojciec się w tej sytuacji odnajdował, jak układały się jego relacje z innymi działaczami i politykami w tamtym okresie?

Powrócę tutaj do czasów wojennych, do Armii Krajowej. Generał Rowecki tak powiedział ojcu: „Ja jestem znany jako piłsudczyk, także niektóre frakcje nie mają do mnie zaufania. Ty nie jesteś kojarzony z żadną partią polityczną. Spróbuj złączyć te wszystkie prawice i lewice”. I to moim zdaniem było jednym z największych osiągnięć mojego ojca. O tym się nie pamięta, Bór-Komorowski jest łączony przede wszystkim z powstaniem warszawskim, ale to, że on potrafił połączyć te wszystkie strony polityczne i wciągnąć je do Armii Krajowej, to moim zdaniem było jego wielką zasługą. Jeśli chodzi o czasy emigracji, mówił mojej matce, że generałowi Andersowi jest dosyć niewygodnie być podwładnym oficerowi niższej rangi od niego. Bór mówił: „Powinienem się podać do dymisji, bo mnie na tym [funkcji Naczelnego Wodza] zupełnie nie zależy i tak to wojsko wkrótce będzie

rozwiązane”. Matka była tym oburzona. Tłumaczył jej: „Nie zależy mi na pozycji. Anders będzie bardziej z tego zadowolony, a i stosunki polityczne będą lepsze”. Później, z tego co widziałem, relacje między ojcem i Andersem były zawsze doskonałe.

Bardzo bliskie relacje miał ojciec także ze Stefanem Korbońskim¹. Pamiętam, że kilka razy był on u nas w domu. Ojciec też go odwiedzał podczas wizyt w USA. Z generałem [Tadeuszem] Pełczyńskim² chyba miał najbliższe stosunki, bo siedzieli ciągle w Studium Polski Podziemnej³, jak były tam zebrania. Ojciec tam jeździł dwa, może trzy razy w tygodniu. Na dole było Studium, a Pełczyński mieszkał nad studium. Różni inni ludzie przychodzi do naszego domu, ale przyznam, że nie orientowałem się zbyt, kim są. Pamiętam generała Sosnkowskiego, który był u nas parę razy w domu na Wembley. Poza tym, żadnych nazwisk nie wymienię. Goście przychodzili rozmawiać z ojcem. Ja na te spotkania nie byłem zapraszany.

1. Stefan Korboński (1901–1989) – polityk polskiego ruchu ludowego, adwokat i publicysta, oficer Wojska Polskiego, jedna z czołowych postaci Polskiego Państwa Podziemnego, p.o. Delegata Rządu na Kraj w okresie od 27 marca do 28 czerwca 1945. W latach 1945–1947 członek ścisłego kierownictwa PSL w kraju. W 1947 roku zmuszony do ucieczki z kraju, osiadł w USA. Aktywny uczestnik życia polskiej emigracji politycznej, autor niezwykle poczytnych książek, m.in. *W imieniu Rzeczypospolitej*, *W imieniu Kremla*, *W imieniu Polski walczącej*, *Polskie Państwo Podziemne*.

2. Tadeusz Walenty Pełczyński (1892–1985) – generał brygady Polskich Sił Zbrojnych, zastępca Dowódcy Armii Krajowej od września 1943 roku do października 1944 roku, ranny w powstaniu warszawskim. Po wojnie na emigracji. W latach 1945–1947 przewodniczący Komisji Historycznej AK przy Sztapie Głównym, aktywny działacz organizacji kombatanckich. Współzałożyciel, a w latach 1956–1969 przewodniczący Rady Studium Polski Podziemnej.

3. Studium Polski Podziemnej – instytucja archiwalna i naukowa założona w 1947 roku w Londynie. W jej posiadaniu znajdują się materiały historyczne dotyczące Polskiego Państwa Podziemnego z okresu II wojny światowej. Założycielami Studium byli wybitni działacze i przywódcy PPP, m.in. Tadeusz Bór-Komorowski, Kazimierz Iranek-Osmecki, Antoni Monter- Chruściel, Andrzej Pomian, Tadeusz Żencykowski czy Tadeusz Pełczyński. W 1988 r. nastąpiło połączenie Studium z Instytutem Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego, zachowując przy tym pewną odrębność i autonomię działalności naukowej.

Poza aktywnością Pana taty w środowisku kombatanckim, poza wizytami polityków, wojskowych, wiedliście w Anglii „normalne” życie rodzinne, można to tak określić?

Tak, z tym, że jak mówię, ojciec zawsze miał dużo spotkań, posiedzeń, bo był w Skarbie Narodowym⁴, w kole AK, był w SPK⁵. Anglicy zapisałi go do *Special Forces Executive Club*⁶, więc tam też chodził na zebrania, no i jeszcze do końca lat 40. był w Rządzie na Uchodźstwie⁷. W 1951 roku po raz drugi pojechał do Stanów Zjednoczonych. Wówczas moja matka doszła do wniosku, że musi iść do pracy, aby mieć z czego żyć. Rozpoczęła pracę w firmie polskiej, tapicerskiej, w której szyli firanki i tym podobne, i nauczyła się tego fachu. W tym czasie, wynajmowaliśmy jeden pokój, co przynosiło niewielki dochód. Potem pomieszczenie zostało przerobione na pracownię i matka zatrudniła

4. Skarb Narodowy – instytucja działająca w latach 1949–1991, której celem było finansowanie działalności legalnych władz Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie. Środki na ten cel były pozyskiwane na drodze dobrowolnych składek od Polaków żyjących na emigracji. Władzą naczelną Skarbu Narodowego była Główna Komisja, złożona z 12 osób. Jej pierwszym przewodniczącym, aż do swojej śmierci, pozostawał gen. Władysław Anders.

5. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów – organizacja kombatancka założona w 1946 roku. Powstała z przekształcenia działającej od sierpnia 1945 r. Samopomocy Wojska. SPK zrzeszało żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy po zdemobilizowaniu zdecydowali się pozostać na emigracji. W jego skład wchodziły oddziały krajowe, działające w różnych częściach świata. Głównym zadaniem organizacji było prowadzenie działalności samopomocowej oraz ideowo-politycznej, opartej na podtrzymaniu wśród żołnierzy i ich rodzin idei niepodległego państwa polskiego. Równoległe do SPK istniały Koła Oddziałowe PSZ, kontynuujące tradycje poszczególnych jednostek.

6. Właściwie *Special Forces Club* (SFC) – klub założony w 1945 roku w Londynie, początkowo zrzeszał członków brytyjskich sił specjalnych oraz członków ruchu oporu w Europie. obecnie mogą należeć do niego osoby, które służyły lub służą w organizacjach i jednostkach ściśle związanych z operacjami specjalnymi i społecznością wywiadowczą.

7. Tadeusz Bór-Komorowski był premierem Rządu RP na Uchodźstwie do 10 lutego 1949 roku.

tam 2 lub 3 Polki. Jedną z pierwszych była żona generała Rudnickiego, która tam przychodziła do nas. Razem szyły firanki, a matka zawoziła je i zawieszała u klientów. Z początku ojciec pomagał w firmie, lecz później zaczęły się jego problemy z sercem. Zajął się więc tylko prowadzeniem ksiąg i nie pracował fizycznie. Pamiętam pewną historię, którą ojciec opowiadał znajomym: „Wicie, byłem wczoraj u księżnej takiej a takiej. Zaprosiła mnie na kolację, a ja trzy dni wcześniej zawieszalem u niej firanki”. Koledzy odpowiedzieli: „Panie generale, gdyby ona pana poznała, mógłby być pan zażenowany”. Wówczas ojciec odpowiedział: „Ja? Skąd! Może ona by była. Nosilem wtedy robocze ubranie, więc raczej... nie, z pewnością by mnie nie poznała.”

To niewiarygodne i jednocześnie przygnębiające, że przed wojną i w jej trakcie takie osoby jak Pana ojciec zajmowali ważne stanowiska, a po wojnie, w warunkach emigracji, musieli pracą fizyczną zarabiać na utrzymanie. Często bycie robotnikiem łączyli z funkcjami w emigracyjnym rządzie – zakładali garnitury, spotykali się, tworzyli politykę.

Tak, pamiętam też, że ojciec przez pewien czas pracował w fabryce pana Konopackiego, który się ożenił z panią Titą⁸, wdową po panu [Zbigniewie] Pronaszce, który zginął w czasie wojny. Rodzice poznali Pronaszków w Grudziądzu, jak mój ojciec tam był przeniesiony⁹. Potem Tita była łączniczką, zdaje mi się, generała Okulickiego w czasie wojny i miała bardzo bliskie stosunki z moją matką. Wiem, że jak ja się rodziłem, to ona zaprowadziła moją matkę do kliniki, opłaciła jakąś

8. Janina Konopacka z d. Michalska, I-voto Pronaszko, zwana często Titą, (1914–1983), żołnierz AK, łączniczka gen. Okulickiego w trakcie powstania warszawskiego, odznaczona m.in. Krzyżem Walecznych (dwukrotnie), po II wojnie światowej na emigracji. Wiceprzewodnicząca Rady Naczelnej Koła AK, wiceprzewodnicząca Funduszu Inwalidów Koła AK im. gen. T. Bora-Komorowskiego, członkini Zarządu Głównego i Oddziału Londyn Koła AK oraz członkini Rady Studium Polski Podziemnej. Zginęła tragicznie w wypadku samochodowym.

9. W listopadzie 1938 roku Tadeusz Komorowski został komendantem Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu.

służącą, żeby pomagała. I po wojnie też te stosunki były bliskie. Moja matka do niej poszła, i powiedziała: „Słuchaj, czy może byście mogli zatrudnić Tadzia, bo on się strasznie denerwuje. Nie ma żadnej pracy i nie wie, co ze sobą robić”. Pan Konopacki miał fabrykę sztucznej biżuterii. Mój ojciec zgłosił się do niego. Nauczył się składać tą biżuterię. Potem przywoził ją do domu i nad tym pracował w domu. Była też taka Diana Tauber, wdowa po Richardzie Tauberze, słynnym śpiewaku austriackim. Ona miała firmę „Diana Limited”, tak mi się zdaje. Co roku w Londynie odbywa się Ideal Home Exhibition, oni tam robili afisze i rozmaite rzeczy. Pamiętam, przez parę lat, co roku były pudełka na burgery, na frytki. Były płaskie i trzeba było je składać, bo te pudełka wysyłano na wystawę. Także ja nawet w tym uczestniczyłem, składałem te pudełka i parę penów zarabiałem. Rodzice najrozmaitsze takie rzeczy robili, ale jak już matka założyła firmę z firankami, to właściwie wszystkie wysiłki szły na to.

Po moim ślubie, jak już się wyprowadziłem z domu, moja matka poprzez sklep na Chelsea, korzystający z jej usług, miała kontrakt na jacht, który znajdował się w Monte Carlo. Mama potrzebowała pomocy, więc mój szkolny kolega, Jim Murray, z nią pojechał i opowiadał mi potem, że kapitan tego jachtu przedstawił się jako hrabia Raczyński. Moja matka doskonale znała Raczyńskiego i wiedziała, że kapitan kłamie. Dała mu to do zrozumienia i on się wystraszył. Jednak mama nie zdradziła go. Potem bardzo do niej [grzecznie się zwracał] „proszę pani, czy mogę?”. Parę miesięcy później właściciel firmy wyrzucił go, odkrywszy, że był oszustem.

Tak więc Pana rodzice nie dostawali nic od rządu Wielkiej Brytanii, mogli liczyć jedynie na to, co sami zarobią.

Tak. Jak ojciec pojechał do Stanów Zjednoczonych w 1946 roku (ja to tylko słyszałem, ale zdaje się, że to tak było), Polonia w Stanach uzbierała 30 000 dolarów i dali mu to jako prezent. Gdy ojciec wrócił użył tylko paręset funtów, żeby złożyć jako depozyt na dom, w którym

potem mieszkaliśmy, a resztę oddał do funduszu inwalidów AK. Powiedział: „Im to jest więcej potrzebne, niż mnie”.

Chciałbym zapytać także o Pana losy na emigracji w Wielkiej Brytanii. Oprócz pracy zawodowej po śmierci ojca był Pan jednym ze stróżów pamięci o nim. W jaki sposób wpływało to na Pana życie? Czy Pan starał się żyć normalnie, zajmować się swoimi sprawami zawodowymi, rodzinnymi?

Z tego co pamiętam, to unikałem polskich organizacji, poza harcerstwem polskim, bo wiedziałem, że Polacy tylko się kłócą wszędzie, to i po co się miałem do tego wtrącać. Dopiero jakieś może 20 lat temu, miałem dwóch znajomych, którzy mieszkali w Amersham pod Londynem i zawsze w środe spotykaliśmy się na piwie. Jeden z nich zapytał: „Czy ty wiesz, że tutaj jest polski klub? Byłem tam w zeszłym tygodniu. Może się tam wybierzemy?”. Więc poszliśmy. Tam nam powiedzieli: „Tak, tak, 10 funtów rocznie. Pan się zapisze i zostanie członkiem”. No i przez następne pięć czy więcej lat chodziliśmy tam. Piwo było tanie. Czułem się tam doskonale. Ktoś się w końcu dowiedział, że jestem synem mojego ojca i usłyszałem: „Musi pan wstąpić do SPK!”. „Ale ja przecież nigdy nie byłem kombatanem” odpowiedziałem. „Ale pana ojciec był, to też się liczy! Proszę tutaj podpisać!” – powiedział ten człowiek. I w końcu zostałem prezesem tego koła, aż do czasu rozwiązania SPK. Lecz tam też zawsze były kłótnie.

Jak więc ocenia Pan rolę polskich środowisk emigracyjnych pod kątem ich wpływu na bieżącą politykę, na stosunek Wielkiej Brytanii do tego, w jakiej sytuacji znalazła się Polska? Czy miały one jakiś realny wpływ na podejmowane decyzje polityczne?

Zdaje mi się, że nie za bardzo.

Były pewne chwile symboliczne, jak odsłonięcie pomnika katyńskiego na cmentarzu Gunnersbury w Londynie.

Starania trwały latami, bo Anglicy nie chcieli się na to zgodzić.

Czy miał Pan w tym okresie jakiś kontakt z Rządem Polskim na Uchodźstwie?

Nie. Kiedyś jakiś facet podszedł do ojca na ulicy i powiedział: „My wiemy, gdzie ty jesteś”.

Zapewne agent służb komunistycznych. Czy natomiast utrzymywał Pan kontakt z polskimi władzami pozostałymi w Londynie? Może był Pan zapraszany na jakieś uroczystości rocznicowe już po śmierci Pana ojca?

Chodziłem na opłatki w kole AK, na spotkania opłatkowe SPK, ale poza tym – nie bardzo. No, może ze dwa, trzy razy jeszcze z rodzicami byłem na dożynkach. Byłem jedynie członkiem „Pogoń”¹⁰, nie wiem, czy pan słyszał o tym?

Tak, to była struktura paramilitarna prowadząca szkolenie wojskowe polskiej młodzieży.

Tak, był taki pomysł, że jeśli doszłoby do wojny, to wycwiczeni polscy oficerowie – jeśli tacy będą – przejmą wojsko polskie i będą walczyć przeciwko komunistom. Więc mieliśmy tam chyba raz na miesiąc spotkania i ćwiczenia, np. o wojnie atomowej. Doszedłem tam do stopnia porucznika.

Długo trwała Pana przygoda z „emigracyjnym wojskiem”?

Tak, może z 10 czy 12 lat.

10. Brygadowe Koło Młodych „Pogoń” – polska wojskowa organizacja niepodległościowa, działająca na emigracji po II wojnie światowej. Powstała 3 maja 1949 r. w Anglii na gruncie tradycji I Kompanii Kadrowej z 1914 r. oraz I Brygady Legionów, jej zadaniem było wychowanie i szkolenie kadr przyszłego wojska polskiego. „Pogoń” zakończyła działalność w 1984 roku. Więcej na ten temat m.in.: R. Zapart, *Brygadowe Koło Młodych „Pogoń”*, „Biuletyn IPN”, 5–6 (2008), s. 118–125.

Poświęcił Pan na to sporo czasu.

Tak, był taki Roman Sitkowski, który mieszkał na tej samej ulicy co my, akowiec. Po śmierci moich rodziców uznał, że on się musi mną opiekować. Powiedział: „Musisz wstąpić do „Pogoni”. Ja tam należę i ciebie też zaprowadzę”. Roman Sitkowski zmarł w wieku 94 lat i jeszcze pracował jako dozorca hotelu na Paddington parę miesięcy przed śmiercią.

Wróćmy jeszcze do „Pogoni”, bo to jest mało znana, a niezwykle interesująca organizacja. Kto prowadził szkolenie wojskowe i na czym one polegało?

To byli Polacy, generał, generał... widzę go, ale nie pamiętam jego nazwiska. On był dowódcą „Pogoni”¹¹. Poza tym były najrozmaitsze oddziały. Tak mi się zdaje, że nasz przewodniczący walczył pod Monte Cassino jako młody żołnierz. No i chodził tam na spotkania z wyższą rangą. Ustalali, o czym będą wykłady przez następny rok i on to nam wykladał.

To były tylko wykłady, czy również jakieś ćwiczenia w polu?

Raz, pamiętam, byliśmy w Fawley Court¹². Tam mieszkali wówczas ojcowie marianie. Jakiś czas znajdowała się tam także polska szkoła. Mieliśmy tam wykłady i ćwiczenia.

Były zajęcia z obsługi broni, strzelanie?

11. Inicjatorem powstania „Pogoni” był podpułkownik (potem generał) Zygmunt Czarniecki.

12. Zabytkowy zespół pałacowo-parkowy, zakupiony w 1953 roku przez zgromadzenie ojców Marianów. Na jego terenie mieściła się m.in. polska szkoła, muzeum, biblioteka i archiwum. W parku wybudowany został kościół św. Anny, fundacji księcia Stanisława Albrechta Radziwiłła, pełniący funkcję mauzoleum dla księcia i jego rodziny. W 2009 roku, pomimo protestów Polonii, posiadłość została sprzedana prywatnym inwestorom.

Nie, nie.

Innym, niezwykle ciekawym elementem Pana życiorysu było spotkanie z prezydentem USA Ronaldem Reaganem podczas ceremonii wręczenia mu Krzyża Armii Krajowej.

To pan Korboński wręczył, ja byłem w tej linii osób, które stały obok. Wziąłem ze sobą aparat fotograficzny, ale potem pomyślałem sobie, że nie ma co tego nosić, bo i tak mi nie pozwolą robić zdjęć, i zostawiłem go w samochodzie. Siedzę tutaj przy tym okrągłym stole [*pan Adam wskazuje na zdjęcie z uroczystości*] razem z Reaganem. Uczestniczył w nim Dziekoński, podówczas prezes koła AK w Ameryce, był prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, był kardynał Król.

Reagan jak zawsze zaczynał dowcipem. Jan Nowak Jeziorański, (on był w Waszyngtonie i miał doskonałe stosunki z Reaganem) powiedział mi, że usłyszał doskonały dowcip z kraju, więc zadzwonił do Reagana, mówi: „Panie prezydencie mam fantastyczny dowcip dla pana”. Opowiedział go, na co Reagan: „Mój panie, spóźnił się pan. Ambasador już do mnie dzwonił dwie godziny temu”. Podczas tego spotkania siedziałem cicho, bo nie miałem nic do powiedzenia. Prezydent w pewnym momencie powiedział: „Ja nie rozumiem tych statystyk. Z jednej strony mówią, że jest mniej ludzi bez pracy, a z innej twierdzą, że jest więcej.” Odparłem na to: „To są kłamstwa, bezczelne kłamstwa i statystyki”, zaś Reagan na to: „A tak, tak, to są słowa...”. Już nie pamiętam w tej chwili kogo, ale prezydent miał rację i byłem zaskoczony, że z miejsca wiedział, o kim mówię.

Rzeczywiście, to był niezwykle inteligentny człowiek, bardzo przychylny Polakom, choć akurat to spotkanie odbyło się w trakcie trwania kampanii wyborczej.

Gdybym był cyniczny, to mógłbym powiedzieć, że te odznaczenia były wręczone akuratnie w dobrym momencie dla niego, no ale bardzo ładnie przemówił na temat Polski, na temat Jałty. Na koniec

powiedział: „Wy wszyscy powinniście być dumni, że możecie powiedzieć, że służyłem w Armii Krajowej”. Na tym obiedzie było przeszło 100 osób z całych Stanów Zjednoczonych. To był 1984 rok. Pamiętam, że zaproszenie na ten obiad przyszło na krótko przed datą spotkania. Ja mogłem wziąć urlop w pracy, ale moja żona już urlopu nie miała, więc poszła do swojego szefa i zapytała, czy mogłaby dostać tydzień bezpłatnego urlopu. Gdy spytał, dlaczego, odpowiedziała: „Jestem zaproszona do Białego Domu na obiad”. On odpowiedział: „Nie wierzę w ani jedno pani słowo. Ale proszę bardzo, niech pani jedzie”. Parę miesięcy później otrzymałem zdjęcie podpisane przez prezydenta Reagana *To Adam Komorowski from President Ronald Reagan*. Powiedziałem żonie, żeby wzięła fotografię do pracy i pokazała swojemu szefowi.

Jak wyglądało życie Pana rodziny na emigracji?

Miałem młodszego brata z zespołem Downa. Po śmierci rodziców żył z nami i dożył 49 lat. Zmarł w 1993 roku. Pamiętam, bo akurat zastanawialiśmy się, kto się nim zaopiekuje, gdyż zbliżała się uroczystość przeniesienia prochów ojca do Warszawy. Brat już wtenczas miał demencję, a wszyscy bliscy chcieli przyjechać do Warszawy. Brat zmarł akurat w moje urodziny rok przed uroczystością. Jedną z rzeczy, którą doskonale pamiętam było to, że ojciec codziennie wychodził do piekarni, kupował ciasteczko i przynosił bratu. Ze szkoły wracał sam, robił sobie herbatę i zawsze było dla niego ciasteczko, które ojciec kupował.

Pana brat był więc dobrze funkcjonującą osobą, pomimo zespołu Downa?

Tak. Kuchnia była jego domeną. Jak ktoś przyszedł, to on robił herbatę, zmywał. Byłby oburzony, gdyby ktoś chciał zmyć naczynia, bo to była jego rzecz. Gdy urodziły się moje dzieci, to także przy nich pomagał, a później, w ostatnich latach jego życia, to synowie się nim opiekowali. Ci dwaj najmłodsi, przez pewien czas spali z nim w tym

samym pokoju, bardzo mile go wspominają. Nawet syn jednego z nich ma na drugie imię Jerzy.

Ma Pan czterech synów. Czy oni czują więź z Polską, mówią po polsku?

Niestety, nie mówią po polsku. Ja chodziłem do polskiej sobotniej szkoły, więc tam trochę się nauczyłem historii i pisania. Ich też wysyłałem do polskiej szkoły, ale poza tym, że nauczyli się tam paru słów, to niewiele z tego wyszło, niestety. Ale tę swoją polskość wyczuwają. Jeden z moich synów pracuje w charytatywnej organizacji MAG – Mines Advisory Group. Rozbrajają miny lądowe na całym świecie. Między innymi mieli do czynienia z wojskiem szwedzkim, które fundowało tam w jakimś afrykańskim kraju rozbrajanie min. Zdarzyło się, że pewien oficer podszedł do mego syna i powiedział: „O, widzę, że pan ma znane nazwisko. Czy pan może kojarzy Bora-Komorowskiego?”. Syn odpowiedział: „Tak, to był mój dziadek”. Oficerowie wzięli go do kasyna i z tego spotkania syn dużo nie pamięta, tak go upili. A innym razem kanadyjska organizacja fundowała rozbrajanie min i mieli spotkanie w Kenii, żeby wszystko omówić. Trwało to 2–3 dni ciężkiej pracy, po czym mój syn zaprosił wszystkich na kolację do restauracji. A tam jeden z tych Kanadyjczyków mówi: „A, widzę że pan ma nazwisko Komorowski. Czy może pan jest spokrewniony z generałem Borem?”. Syn powiedział: „Tak, tak, to był mój dziadek”. „A, to w takim razie mój ojciec walczył pod pana dziadka komendą w Warszawie”. To synowi powiedział w Kenii, Kanadyjczyk!

To naprawdę niesamowite. Pokazuje to, jak bardzo powstańcy rozjechali się później po świecie. Jak Pan sądzi, co wpłynęło na tak dużą znajomość postaci Pana ojca? Wydaje się, że już sam jego pogrzeb był okazją do wielkiej, patriotycznej manifestacji.

Z pogrzebem w 1966 roku też była „afera”, bo Brytyjczycy odmówili przysłania oficjalnej delegacji. Ja po 30 latach odnalazłem wszystkie dokumenty dotyczące tego faktu. Więc odpowiedzialny był za to

minister obrony Denis Healey¹³. Na początku korespondencji jakiś urzędnik pisze: „Tak, zgodziliśmy się, że nie będziemy informować królowej, bo to jej nie dotyczy. A skoro Komorowski nigdy nie walczył pod komendą brytyjską, to...” Na samym końcu tej przykrej sprawy Denis Healey powiedział: „Proszę uważać następnym razem, żeby taki skandal się nie zdarzył. Następny może być generał Anders.” Tak napisali!

I w 1970 roku, na pogrzebie generała Andersa, też nie było reprezentanta Wielkiej Brytanii.

Na pogrzeb ojca przysłali reprezentantów Amerykanie, Francuzi, a nawet król Libii. Brytyjczycy zaś nikogo. Potem, z powodu tego skandalu, była msza święta w katedrze westminsterskiej, na którą przyszli lord Oswald i paru ex-premierów konserwatystów. Nawet mam zdjęcie, na którym generał Anders z moją matką pod ręką idzie na miejsce w kościele.

I później był ten drugi pogrzeb, w 1994 roku.

W 1992 roku zadzwonił do mnie przedstawiciel Ambasady z pytaniem, czy mógłbym przyjść na rozmowę. Pojechałem tam. Po raz pierwszy w życiu wstąpiłem do ambasady polskiej. Zapytali mnie: „Jakby się pan zapatrywał na to, żeby przywieźć zwłoki ojca z powrotem do Polski?”. Powiedziałem: „Dobrze, jak najbardziej, ale pod dwoma warunkami: że to będą zwłoki obydwójga rodziców, bo byli razem pochowani i takie było ich życzenie, a po drugie, że to będzie w '94 roku, na 50. rocznicę powstania warszawskiego”. Powiedzieli: „Ale proszę pana, my mamy teraz te fundusze. W '94 roku to już ich nie będzie, a akowcy wszyscy wymrą. W tej sytuacji zwróciłem się do dwojga ludzi, do których miałem wielki szacunek. Pierwszą osobą była moja chrzestna

13. Polityk Partii Pracy, w latach 1964–1970 minister obrony Wielkiej Brytanii.

matka, Karolina Lanckorońska¹⁴, a drugą był generał Rudnicki, którego doskonale znałem, a on znał ojca od dziecińczych lat. I obydwójce mi powiedzieli: „Doskonale, trzymaj się tego, co powiedziałaś”. Więc się trzymałem, mimo, że przysyłali do mnie ludzi i naciskali, żebym się zgodził. Jakoś te pieniądze w 1994 roku się znalazły, jednak w ostatnim momencie powiedzieli: „Proszę pana, pana matka nie może być tam pochowana, bo to są groby komendantów Armii Krajowej. Tam kobieta nie może być”. Więc powiedziałem, że dziękuję bardzo, że się wycofuję. Moi rozmówcy ostatecznie zgodzili się na to, aby tablica z nazwiskiem mojej matki była od frontu mogiły, a ta płyta na górze została poświęcona mojemu ojcu, więc w końcu się udało.

Wspomniał Pan o Pana chrzestnej matce, Karolinie Lanckorońskiej. Jest to postać ogromnie zasłużona dla polskiej kultury. W pewnym momencie księżna sprzedawała nawet swoje kosztowności i pamiątki po to, ażeby wesprzeć Polaków w kraju w epoce „Solidarności”. Czy rozmawiał Pan z Karoliną Lanckorońską w tym okresie o kształtowaniu się w Polsce opozycji demokratycznej?

Nie, raczej nie. Pamiętam, za młodych lat, to ona zwykle spędzała jesień i zimę w Rzymie, a na lato przyjeżdżała do Londynu i zawsze przyjeżdżała do nas. Przywoziła czekolady, których wtenczas nie było w Anglii i najrozmaitsze smakołyki. Ja wtedy zbierałem znaczki i ona mi przywoziła z Włoch pewną ich kolekcję. Ale widocznie nie podziękowałem jej z miejsca, na co ona odparła: „Nie dziękujesz, to ja

14. Karolina z Brzezia hr. Lanckorońska (1898–2002) – historyk sztuki, profesor, podczas II wojny światowej żołnierz AK, aresztowana przez Niemców i skazana na śmierć, więziona w obozie w Ravensbrück. Po wyzwoleniu obozu udała się do Włoch, gdzie została oficerem prasowym II Korpusu Polskiego. Zamieszkała w Rzymie, gdzie poświęciła się pracy dla kultury i nauki polskiej. Była współzałożycielką Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie oraz Fundacji z Brzezia Lanckorońskich. Autorka licznych artykułów naukowych i wspomnień. Otrzymała wiele odznaczeń polskich i zagranicznych oraz doktoraty honoris causa Uniwersytetów Jagiellońskiego i Wrocławskiego.

je zabieram”. I nie dała mi tych znaczków. Mój kuzyn, Piotr Piniński, jest teraz prezesem Fundacji Lanckorońskich. Dali dotację „Karcie”, której przekazałem wszystkie dokumenty mojego ojca i oni piszą biografię o moim ojcu. Dotychczas nie ma takiej biografii. Jest książka [Andrzeja] Kunerta. Eugeniusz Romiszewski, który pracował w Radiu Wolna Europa, zaczął pisać książkę od razu po śmierci mojego ojca i pierwszą rzeczą, jaką zrobił to był długi wywiad z moją matką i nad tym pracował do lat osiemdziesiątych i zmarł. Ta książka była tylko doprowadzona do czasu wojny. [Romiszewski] miał stopy wywiadów z ludźmi już wtenczas nieobecnych na tym świecie. Nie wiedziałem, co się z tym stało. Kiedyś na jakimś przyjęciu ktoś mi przedstawia panią Romiszewską. „Czy pani może znała pana Eugeniusza?” – zapytałem. „Tak, to był mój mąż.” Zainteresowany dodałem: „On pisał książkę o moim ojcu, czy pani wie co się z tym stało?” Powiedziała: „Tak, to jest u mnie w sypialnym pokoju. Ja nie wiem, co z tym zrobić, bo obawiam się, żeby to nie wpadło w złe ręce”. Powiedziałem, że jeśli mi to przekaże, to obiecuję, że „z tego coś wyjdzie”. Pojechałem do niej, załadowałem to wszystko do samochodu i przywiozłem do siebie. Wówczas zwróciłem do Karli [Lanckorońskiej], wytłumaczyłem sytuację. Powiedziała: „Dobrze, to Ciechanowiecki się tym zajmie”. Więc on szukał historyka i znalazł Kunerta, który odmówił. Powiedział, że ma za dużo pracy. No więc Ciechanowiecki w dalszym ciągu szukał kogoś innego, ale akurat w tym momencie Kunert wrócił i powiedział, że jednak może się tym zająć. Odbędzie się więc spotkanie z Kunertem, z Ciechanowieckim, z panią Romiszewską. Uzgodniono pewne rzeczy, których niestety Kunert nie dotrzymał. Jego książka to nie jest biografia, to jest tylko kolekcja materiałów. Dostał nawet pieniądze od Fundacji Lanckorońskich i pojechał do Instytutu Piłsudskiego w Stanach Zjednoczonych, był w Londynie. [Ta książka] to jest coś, ale nie to, co miało być. Razem z Piotrem [Pinińskim] uznaliśmy, że powinna wyjść dobra biografia mojego ojca, więc mam nadzieję, że w przyszłym roku się ukáže.

Wywiad mojej matki także wydaliśmy jako książkę, napisałem do niej wstęp, „U boku dowódcy Armii Krajowej”. To było wydane po


polsku, ale skoro moja rodzina nie mówi ani nie czyta po polsku, więc przetłumaczyłem to wszystko na język angielski i dałem to Piotrowi [Pinińskiemu], żeby on sprawdził. On w międzyczasie zadzwonił do Muzeum Historii Polski, które wydało tę książkę i zapytał, ile kosztowałoby wydrukowanie około 400 egzemplarzy. Wydrukowaliśmy je i wersja angielska już 5–6 razy była dodrukowywana, bo sprzedawali ją w Muzeum Powstania Warszawskiego. Tam książek po angielsku nie ma dużo i nasza cieszyła się dużą popularnością. Ciągłe ją wyprzedawali.

Pozostając jeszcze na chwilę przy postaci Karoliny Lanckorońskiej – słyszałem taką opinię, że księżna uważała, że potencjał polskiej emigracji nigdy nie został dobrze wykorzystany przez opozycję, która po 1989 roku przejęła władzę w kraju. Opozycję, którą wcześniej księżna sama wspierała finansowo.

Nic takiego właściwie od niej nie słyszałem. Kiedy Karla przyjeżdżała na lato do Londynu, to ja ją odbierałem z lotniska i zawoziłem do siebie do domu. Pamiętam, jednego roku przyleciała i była bardzo podeksytowana, powiedziała: „Wiesz, dali mi odznaczenie”. Nie wiem, czy to był Order Orła Białego, czy jakieś inne. „I pan Marszałek Sejmu przyjechał do Rzymu i sam on mnie wręczył”. Była tak tym zaskoczona i widocznie sprawiło jej to wielką przyjemność. Ja nigdy nie wyczuwałem, że Karla miała jakieś pretensje.

Karla była w niewoli niemieckiej, gdy moja matka zawiadomiła ją, że ja się urodziłem i chciałyby, aby ona była moją chrzestną matką. Miała nadzieję, że to jej przyniesie szczęście. Więc udało mi się, bo dożyła 104 lat.

Bardzo dziękuję za rozmowę!

 **Maciej Morawski** – (1929–2021) – wieloletni korespondent Radia Wolna Europa (1965–1992), członek delegatury Rządu RP na uchodźstwie w Paryżu, działacz społeczno-polityczny na emigracji, w tym m.in. prezes polskiego Zjednoczenia Młodzieży Chrześcijańsko-Społecznej (sekcji polskiej Międzynarodówki Młodych Chrześcijańskich Demokratów) w latach 1955–1965. Urodził się w Poznaniu, jako syn Kajetana Morawskiego i Marii z Turnów. Dzieciństwo spędził w Jurkowie. Podczas II wojny światowej zaangażowany był w służbie sanitarnej AK (pod egidą PCK). Maturę zdał w Kościanie w roku 1946, po której rozpoczął studia psychologiczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Zostały one przerwane ze względu na wyjazd do swojego ojca do Paryża, gdzie zamieszkał na stałe. W stolicy Francji podjął studia na Wydziale Nauk Społecznych Katolickiego Uniwersytetu (Licence Sciences Sociales CATHO) oraz w Akademii Handlowej. Ponadto uczył się w Instytucie Wyższych Studiów Europejskich Uniwersytetu w Strasburgu, gdzie był stypendystą Kolegium Komitetu Wolnej Europy. W latach 50. XX wieku zaangażował się w działalność środowisk chrześcijańsko-demokratycznych oraz rozwijał swoje zdolności dziennikarskie pisząc dla „Le Nouvel Horizon” oraz „Journal des Finances”. W kolejnych latach miał okazję współpracować także z paryską „Kulturą”. Był wysoko cenionym informatorem o wydarzeniach w kraju. Jako korespondent Radia Wolna Europa był atakowany przez propagandę PRL. Wspierał „Solidarność” między innymi poprzez cykl wywiadów z jej działaczami na falach ra-

dia. W 1994 roku założył w Warszawie Klub „Dialog ponad podziałami” im. Giorgio La Pira oraz kierował Polskim Funduszem Humanitarnym we Francji, opiekującym się Domem Spokojnej Starości w Lailly-en-Val. Był Kawalerem Zakonu Maltańskiego, a także paryskim przedstawicielem Towarzystwa Polska – Francja w Paryżu. W latach 2015–2021 piastował funkcję Honorowego Prezesa Stowarzyszenia Pracowników, Współpracowników i Przyjaciół Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa Imienia Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Wywiad przeprowadzony dla celów niniejszej publikacji odbył się na tydzień przed śmiercią śp. Macieja Morawskiego. Zmarł on 6 czerwca 2021 roku w Paryżu, przeżywszy 91 lat.

[Michał Dworski] Panie Macieju, bardzo serdecznie dziękuję za to, że zgodził się Pan wziąć udział w naszym wydawniczym przedsięwzięciu mającym na celu przybliżenie czytelnikom w kraju i zagranicą dziejów polskiej emigracji politycznej w trakcie i po zakończeniu II wojny światowej. Naturalnie głównym polem naszej rozmowy będzie Pana zimnowojenna działalność i funkcjonowanie polskich środowisk we Francji, z którą tak blisko związał się Pan po zakończeniu konfliktu światowego. Zanim jednak zaczniemy analizować dzieje naszej emigracji, to pozwolę się dopytać o lata najwcześniejsze i o to, w jaki sposób znalazł się Pan w państwie nad Sekwaną?

[Maciej Morawski] Pochodzę z rodziny ziemiańskiej z powiatu kościańskiego, w województwie poznańskim. W czasie wojny znalazłem się w Warszawie. Działiałem w służbie sanitarnej AK, a po wojnie byłem członkiem OMTUR-u w Kościanie. Tam też zdałem maturę i krótko studiowałem w Poznaniu. Mój ojciec wyjechał z rządem za granicę i był w 1943 roku pierwszym, co bardzo ważne, ze wszystkich ambasadorów przy rządzie Wolnej Francji, który właśnie był w czasie powstawania¹. Jeszcze o tym powiem. W roku 1946, minister Michał

1. Kajetan Dzierżykraj-Morawski (1892–1973) – dyplomata, polityk, działacz społeczny. Od 1918 roku pracował w Departamencie Stanu Rady Regencyjnej, który przekształcił się w Ministerstwo Spraw Zagranicznych II RP. Pełnił różne funkcje w odrodzonej służbie zagranicznej, zarówno na placówkach (Wolne Miasto Gdańsk, Liga Narodów), jak i w centrali – na czele z funkcją wiceministra (1925) i ministra spraw zagranicznych (1926). Po przewrocie majowym w 1926 roku wycofał się z życia politycznego, do którego powrócił na zaproszenie wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Minister Skarbu mianował go swoim zastępcą w 1936 roku. We wrześniu 1939 roku ewakuował się wraz z Rządem RP do Rumunii. Od 1941 roku był sekretarzem generalnym MSZ, a od 1943 – pierwszym zagranicznym przedstawicielem dyplomatycznym przy Komitecie Wolnej Francji w Algierze a następnie w Paryżu, jako Ambasador RP. Po II wojnie światowej nestor polskich środowisk emigracyjnych we Francji. Jako nieoficjalny dyplomata Rządu RP na Uchodźstwie swoją misję pełnił do 1969 roku określając siebie „Ambasadorem Wolnych Polaków”.

Kaczorowski², dawny współpracownik mojego ojca, wtedy minister odbudowy, oraz przedwojenny wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski³ chcieli koniecznie sprowadzić go do Polski. Chcieli, aby pracował, jako administrator nad odbudową Polski. Do Paryża przyjechaliśmy, co bardzo ważne, ja jako nieletni na paszporcie matki, w listopadzie 1946 roku. Ojciec z miejsca powiedział nam, że nie ma zamiaru powracać do Polski, bo jest przekonany, że Kwiatkowski i Kaczorowski się mylą, że cały ten system względnie jeszcze liberalny – runie. Namawiano wtedy matkę, żeby jechała po ojca do Paryża, ale mój ojciec odmówił powrotu do Polski i rzeczywiście 18 miesięcy później wprowadzono w Polsce brutalny, niezwykle ostry, komunizm. Kwiatkowski znalazł się bez posady w Gdańsku, a Kaczorowski też gdzieś poszedł w odставку. Wszyscy poszli w odставку, a my na szczęście byliśmy u ojca w Paryżu.

2. Michał Kaczorowski (1897–1975) – ekonomista, architekt, działacz polityczny. Przed wybuchem II wojny światowej był kierownikiem Wydziału Ekonomicznego w Ministerstwie Skarbu kierowanym przez Eugeniusza Kwiatkowskiego. W 1944 roku został kierownikiem Biura Planowania i Odbudowy przy Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, a następnie od czerwca 1945 do kwietnia 1949 roku pełnił funkcję Ministra Odbudowy Kraju w Rządzie Tymczasowym, Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej i pierwszym rządzie Józefa Cyrankiewicza. Związany z Polską Partią Socjalistyczną od 1939 roku.

3. Eugeniusz Kwiatkowski (1888–1974) – chemik, polityk, minister przemysłu i handlu (1926–1930), wicepremier i minister skarbu (1935–1939) II Rzeczypospolitej. W latach 1939–1945 internowany w Rumunii. W lipcu 1945 roku powrócił do kraju i w latach 1945–1948 był Delegatem Rządu dla Spraw Wybrzeża. W latach 1947–1952 był posłem na Sejm Ustawodawczy. W 1948 roku został odsunięty od działalności publicznej i przeniesiony na przymusową emeryturę z administracyjnym zakazem pobytu na Wybrzeżu i w Warszawie.

Paryż ukształtował Pana politycznie, społecznie i kulturalnie. Jak wyglądało Pana życie w stolicy Francji po zakończeniu II wojny światowej?

W Paryżu zacząłem się uczyć języka francuskiego. To tam w naszym domu poznałem Józefa Hutten-Czapskiego⁴, malarza i pisarza, który bardzo się mną zainteresował. Udzielił mi wielkiej pomocy i pokazał Francję. Wiele wlał do mego serca z kultury francuskiej i przekonał mnie, jaka jest ona wielka. Bardzo dbał o to, żebym wszedł, jakby to powiedzieć, do wnętrza francuskiej najwyższej kultury. We Francji studiowałem na Uniwersytecie Katolickim, Akademii Handlowej oraz w Strasburgu. Następnie dostałem się na kurs szkoleniowy w Kolegium Wolnej Europy, po którym miałem zostać pracownikiem Radia Wolna Europa. To były lata 50. XX wieku. W ostatniej chwili cofnięto mi stanowisko, bo ktoś powiedział, że jestem homoseksualistą związanym z Jeleńskim⁵ i Czapskim. Kilka lat później, kiedy Amerykanie wybrali mnie na stałe do tej pracy, dowiedziałem się w Europe Information Service, że to była po prostu nagonka. Powiedziano mi, że teraz mają już jasne dowody, że była to akcja celowo zorganizowana przez wywiad sowiecki po to, żeby skłócić inteligencję z zachodem, żeby ta inteligencja raczej wypowiadała się za Rosją. Następnie pracowałem w kilku bankach i zajmowałem się dziennikarstwem. Współpracowałem z pismami francuskimi i europejskimi.

4. Józef Hutten-Czapski (1896–1993) artysta malarz i pisarz, major Wojska Polskiego. Pod koniec września 1939 roku został wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną. Trafił do więzień w Starobielsku, Pawliszczew-Borze oraz Griazowcu. We wrześniu 1941 roku został uwolniony i trafił do Armii Polskiej w ZSRR dowodzonej przez gen. Władysława Andersa. Lata 1943–1945 Józef Czapski spędził w szeregach 2. Korpusu Polskiego, najpierw na Bliskim Wschodzie, a potem we Włoszech. Wojnę zakończył w stopniu majora, kierując Oddziałem Kultury i Prasy 2. Korpusu. Po demobilizacji osiadł we Francji. Wraz z Jerzym Giedroyciem oraz Zofią i Zygmuntem Hertzami współtworzył Instytut Literacki i miesięcznik „Kultura”. Początkowo mieszkał w Paryżu, a w 1954 r. przeniósł się do Maisons-Laffitte, do domu-redakcji „Kultury”, gdzie spędził ostatnie cztery dekady swojego życia.

5. Konstanty „Kot” Jeleński (ur. w 1922 – zm. w 1987) – publicysta, eseista, krytyk literacki związany z paryską „Kulturą”, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych (służył w 1. Dywizji Pancerniej), uczestnik Kongresu Wolności Kultury.

W latach 50. XX wieku rozpoczął Pan bliższą współpracę ze środowiskami chrześcijańsko-demokratycznymi, a także z Europe Information Service.

Tak, w tym czasie nawiązałem kontakt ze Stanisławem Gebhardtem⁶ – sekretarzem generalnym międzynarodówki Młodych Chrześcijańskich Demokratów. Była ona finansowana naturalnie przez Amerykanów. Ja zostałem prezesem Związku Polskich Młodych Chrześcijańskich Demokratów. Wspomniany Stanisław Gebhardt, po Kongresie w Caracas, został Sekretarzem Generalnym Międzynarodówki Młodych Demokratów.

Wtedy też dostałem posadę w Europe Information Service – takim serwisie wywiadowczym, który zbierał informacje o tym, co się dzieje w Polsce. Potem, niestety, nastąpiła katastrofa. Senat i Kongres Stanów Zjednoczonych przejęły Radio Wolna Europa. Jak mówił mi mój uko-

6. Stanisław Gebhardt (ur. w 1928) – polityk, ekonomista. W trakcie II wojny światowej członek Szarych Szeregów i Armii Krajowej, więzień obozu Gross Rosen i Mauthausen. Absolwent Polish University College w Londynie i Sorbony w Paryżu. Od 1946 roku działacz Stronnictwa Pracy, członek Prezydium Stronnictwa Pracy i ostatniego Komitetu Wykonawczego na Uchodźstwie do 1989 r. Współorganizator Zjednoczenia Młodzieży Chrześcijańsko-Społecznej na Uchodźstwie. W latach 1951–1953 był członkiem Parlamentu Młodzieży Europejskiej. Działał w Międzynarodowej Unii Młodych Chrześcijańskich Demokratów. Współorganizował Radę Polityczną Młodzieży NATO. W latach 1954–1959 był sekretarzem generalnym Sekcji Młodych Chrześcijańskiej Demokracji Unii Europy Środkowej z siedzibą w Paryżu. Od 1962 do 1973 wchodził w skład władz Międzynarodowej Unii Młodych Chrześcijańskich Demokratów (sekretarz generalny w latach 1962–1968). W latach 1990–1995 pełnił funkcję wiceprezesa Chrześcijańsko-Demokratycznej Unii Europy Środkowej w Bratysławie, następnie w 1991–1995 wiceprezesa Światowej Unii Chrześcijańskich Demokratów w Brukseli. W latach 1962–1976 współorganizował centrum studiów problemów działania systemu demokratycznego i zagadnień międzynarodowych w Rzymie pod nazwą Esperienze Internazionali. Od 2020 roku przewodniczący Rady Programowej Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego. Wywiad ze Stanisławem Gebhardtem został także zamieszczony na łamach niniejszej publikacji.

chany szef Kazimierz Zamorski⁷ to była katastrofa. Mieszanie polityki w życie radia doprowadziło do tego, że ostatni dyrektor radia Piotr Mroczyk był agentem UB.

Właśnie... Radio Wolna Europa. To było bardzo ważne miejsce w Pana karierze zawodowej oraz społeczno-politycznej.

Byłem jednym z najlepszych informatorów o tym, co się dzieje za granicą, co się dzieje w Polsce. Bardzo ważne było, żeby polska emigracja wiedziała, co naprawdę dzieje się w partii, co naprawdę dzieje się w kierownictwie, co naprawdę ma miejsce w walkach partyjnych. Równocześnie wiedzieli o tym komuniści, którzy zaczęli okropnie zastraszać moją żonę – zaczepiać ją na ulicy, wysyłać jej pogroźki. Skończyło się to tym, że żona w pewnym momencie jakby zwariowała i poprosiła mnie o rozwód, na który się, niestety, zgodziłem.

Zostałem bez żony. Nadal pracowałem w Europe Information Service z tym, że to się już nie nazywało EIS. Pod przykrywką szarego normalnego korespondenta Radia Wolna Europa pracowałem zawsze w pierwszym rządzie w tej samej dziedzinie, w dziedzinie zbierania najważniejszych informacji o tym, co działo się w Polsce. Tak dotrwałem aż do okresu wyzwolenia w 1989 roku. Wtedy mogłem pojechać do Polski, gdzie byłem mile przyjęty przez moje ukochane miasto Poznań, które wydało mi kilka książek. Specjalną opieką literacką otoczył mnie mój przyjaciel, słynny historyk i dziennikarz z Wielkopolski, Jerzy Zielonka. Wydał kilka moich książek i tak się rozwijało moje życie. Potem, jak już komunizm się zawalił, to zostałem w Paryżu i już do Polski na stałe nie wróciłem, bo chciałem zajmować się swoją żoną, która jak powiedziałem poprzednio, rozwiodła się ze mną i przebywała w specjalnym zakładzie. Moja córka

7. Kazimierz Zamorski – dziennikarz, publicysta, kierownik polskiego Biura Studiów i Analiz Radia Wolna Europa, współpracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w latach 1952–1979, autor książek w tym wspomnień: „Pod anteną Radia Wolna Europa”.

też bardzo na tym cierpiała, to było bardzo ciężkie dla całej mojej rodziny...

Jednak do samej Warszawy dojeżdżałem od czasu do czasu. Kupiłem mieszkanie na Marszałkowskiej. Założyłem klub ponad podziałami i propagowałem współpracę polsko-francuską.

Dzieje powojennej polskiej emigracji we Francji są bardzo wyraźnie i trwale związane zarówno z Panem, jak i z Pana ojcem – Ambasadorem Kajetanem Morawskim. Zanim jednak odkryjemy karty powojennej działalności – pozwolę się dopytać o czas wojny i okres międzywojenny. Pana ojciec był ważną postacią życia politycznego II Rzeczypospolitej. Jego znaczenie dla naszej dyplomacji z okresu II wojny światowej jest także nieocenione. Jak zatem wspomina Pan publiczne funkcjonowanie Kajetana Morawskiego w przedwojennej Polsce? Jaki był stosunek Pana ojca do rzeczywistości społeczno-politycznej przed 1939 rokiem?

Mój ojciec był kierownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych w obalonym w zamachu majowym rządzie Witosy. Jednak po kilku latach za zgodą Piłsudskiego wrócił do MSZ-tu. Wtedy ministrem był Zaleski – bardzo przyzwoity człowiek. Pamiętam, że wielu naszych krewnych oburzało się na mojego ojca, że flirtował z obozem piłsudczykowskim, wcześniej będąc ofiarą zamachu majowego. Ojciec odpowiadał, że pragnie służyć nie tym czy innym, lecz Polsce.

Zaleski zatrzymał mojego ojca w Ministerstwie do czasu, aż Piłsudski zamienił go na Becka. Było to kolosalnym, mającym ponure następstwa, błędem. Beck z miejsca mego ojca z MSZ-tu wyrzucił, przenosząc go na emeryturę z cofnięciem w tył jego stopnia służbowego. Ojciec był przeciwnikiem Becka od początku. Nie mówił tego głośno, ale uważał Becka za durnia. Po wojnie się na ten temat nie wypowiadał, bo dobre manieri nie pozwalały mu go obrażać (dżentelmen nigdy nie pluje na tych, co przegrali). Mawiał jednak do nas, że Beck w roku 1939 zupełnie nie rozumiał sytuacji i naiwnie wierzył zapewnieniom Marszałka Rydza Śmigłego, że nasza armia jest przygotowana. Beck nie wierzył też w to, że Hitler dogada się ze Stalinem.

Jednak w tym czasie w MSZ-cie było kilku mądrych ludzi, którzy wiedzieli, że koniecznością było grać na zwłokę, oddać Gdańsk Hitlerowi itd., itd. Ale ludzie Ci nie mieli nic do gadania. Po tym jak Beck wszedł do MSZ-tu, mojemu ojcu pomógł minister skarbu Kwiatkowski, który był skłócony z nowym ministrem spraw zagranicznych. Kwiatkowski, za zgodą prezydenta Mościckiego (z którym był bardzo związany), mianował mojego ojca I wiceministrem skarbu. Następnie ojciec wyjechał za granicę i tam przestał być wiceministrem, ale nadal pracował przy rządzie. Po wybuchu wojny ojciec miał określone funkcje przy gabinecie generała Sikorskiego i był bardzo przez niego ceniony. Później uważał, że Sikorski został zamordowany, a czeski pilot celowo doprowadził do katastrofy.

Zatrzymajmy się na chwilę przy temacie przedwojennych kadr Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wspomniał Pan, że było w tej strukturze „kilku mądrych ludzi”. Kogo by Pan wskazał w tym gronie?

Tutaj widzę szerzej problem polskiego przedwojennego MSZ-tu. Mój ojciec nie mógł zrozumieć, dlaczego mądry Piłsudski politykę zagraniczną powierzył Józefowi Beckowi, a dowództwo armii Rydzowi Śmigłemu? Po latach wspominał nam prywatnie, że Ci dwaj ponoszą odpowiedzialność za to, co zaszło we wrześniu 1939 roku. Ojciec mawiał, że w „beckowskim” MSZ-cie byli co najmniej dwaj ludzie, którzy rozumieli sytuację i widzieli błędy Becka i Rydza. Ci ludzie to, jakże mądry (o ile się nie mylę, dyrektor polityczny MSZ-tu) Potocki⁸ oraz

8. Józef hr. Potocki (1895–1968) – dyplomata, absolwent Balliol College w Oksfordzie i szkoły wojskowej w Petersburgu. Od 1919 roku pracował w odrodzonej służbie dyplomatycznej na placówkach (m.in. w Londynie) i w centrali – w latach 1934–1939 był wicedyrektorem Departamentu Politycznego MSZ i Naczelnikiem Wydziału Zachodniego. Następnie pełnił funkcję Ministra Pełnomocnego przy Rządzie RP w Angers. Po kapitulacji Francji został mianowany radcą Poselstwa RP w Lizbonie, gdzie w 1943 roku mianowano go chargé d'affaires. Od 1944 do 1968 roku pełnił funkcję Posła RP w Madrycie będąc uznanym dyplomatą o charakterze pół-oficjalnym.

wiceminister Arciszewski⁹. Później, był on chyba Posłem RP w Argentynie.

Potocki – człowiek zdaniem mego ojca bardzo mądry – był później, już za czasów rządu emigracyjnego posłem RP w Madrycie. Generał Franco uznawał nasz rząd na wygnaniu w Londynie chyba do lat sześćdziesiątych¹⁰. Ja kilkakrotnie odwiedzałem w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych posła Potockiego w jego biurach w Madrycie. Ten tak kulturalny i mądry człowiek swego czasu ostrzegał Rząd RP na początku roku 1944 przed wybuchem powstania w Warszawie. Potocki w rozmowie ze mną w Madrycie na początku lat pięćdziesiątych z oburzeniem mówił o tym, że pod koniec lat trzydziestych marszałek Śmigły Rydz obsesyjnie walczył z „defetyzmem”. Dobrze wiedzącego, „ku czemu szło” Stanisława Cata-Mackiewicza posłał, co prawda na krótko, do Berezki Kartuskiej... Potockiego oburzała cała beckowsko-rydzowska „propaganda sukcesu”...

Przechodząc do II wojny światowej nie sposób jest nie wspomnieć o generale Charlesie de Gaullu oraz rządzie Wolnej Francji. Pozycja Pana ojca w zakresie relacji polsko-francuskich była w tym czasie wyjątkowa. Miała ona także ogromne znaczenie w zakresie jego powojennego statusu w Paryżu.

Rząd na wygnaniu w Londynie był pierwszym, który uznał rząd Wolnej Francji.

Mój ojciec był jesienią 1943 roku pierwszym ze wszystkich ambasadorów akredytowanych przy, właśnie wtedy stworzonym na wy-

9. Mirosław Arciszewski (1892–1963) – dyplomata i prawnik, od 1918 roku pracował w odrodzonej służbie dyplomatycznej – m.in. jako sekretarz Poselstwa RP w Genewie i Ambasady RP w Paryżu. Następnie kierował samodzielnie dwoma placówkami w charakterze Posła RP – w Rydze i Bukareszcie. W latach 1938–1939 pełnił obowiązki wiceministra Spraw Zagranicznych w rządzie Felicjana Sławoja Składkowskiego. W 1940 roku został mianowany delegatem do spraw uchodźców politycznych, a w 1941 – dyrektorem Departamentu Politycznego MSZ. Następnie był posłem RP w Buenos Aires w latach 1942–1946. Po 1946 roku pełnił swoją funkcję, jako nieoficjalny przedstawiciel Rządu RP na Uchodźstwie.

10. Do momentu śmierci Józefa hr. Potockiego we wrześniu 1968 roku.

gnaniu w Algierze, rządzie „wolnej Francji”. Fakt ten dobrze pamiętał generał Charles de Gaulle. Inne rządy jeszcze wtedy uznawały rząd Vichy, dlatego mój ojciec został dziekanem korpusu dyplomatycznego i Francuzi podkreślali, że zawsze się najlepiej pamięta pierwszego, bo był tym pierwszym ambasadorem akredytowanym przy rządzie Wolnej Francji. Inni gauliści, pewni ważni Francuzi też określali mego ojca mianem najbardziej profrancuskiego z ambasadorów cudzoziemskich we Francji. Jak po śmierci mego ojca, w liście kondolencyjnym podkreśliła Generałowa de Gaulle, Generał „wysoko cenił mego ojca”. Rzeczywiście De Gaulle i mój ojciec mieli bardzo „bliski dialog”, bardzo łatwo się dogadywali i byli sobie bliskimi. Ojciec bywał zapraszany przez generała De Gaulla na obiady w pałacu elizejskim.

Jak zatem wyglądało powojenne funkcjonowanie Ambasady RP w Paryżu pod kierownictwem Kajetana Morawskiego?

Była to „Ambasada wolnej Polski”. Placówka przez państwo francuskie oczywiście oficjalnie nie uznawana (rzecz jasna Francja oficjalnie uznawała władający Polską komunistyczny rząd w Warszawie, lecz po cichu tolerowała ambasadę mego ojca). Francuski MSZ mnóstwo spraw nam, to jest owej emigracyjnej ambasadzie, załatwiał. W Bibliotece Polskiej w Paryżu spoczywa wiele paszportów mego ojca i moich z - o ile się nie mylę - francuskimi wizami dyplomatycznymi, czy też służbowymi. Za czasów prowadzenia przez ojca owej ambasady, jego głównym zastępcą był radca Tadeusz Parczewski, słynny „Totuś” - postać w polskim Paryżu wielce znana i szanowana. Sama Ambasada znajdowała się w kamienicy przy paryskiej ulicy Uniwersyteckiej 174.

Byłem przy boku mego ojca, a później jego następców - delegatów legalnego, rezydującego w Londynie Rządu RP. Później obok innych moich funkcji, z których rzecz jasna najważniejszą była funkcja korespondenta informacyjnego Radia Wolna Europa, sam zostałem dyplomatą emigracyjnym. Z miejsca tu sprecyzuję, że mimo różnych sporów i podziałów nasi dyplomaci emigracyjni za swój najwyższy

autorytet uważali Edwarda Raczyńskiego – osobistość wysoko cenioną też w sferach kierowniczych mocarstw Zachodu... No i – co także bardzo istotne – w kierowniczych sferach żydowskich. Edward Raczyński, w pewnym okresie prezydent RP na Uchodźstwie w Londynie, niewątpliwie był szefem klanu wielkich polskich dyplomatów. Umiał przewycięzać i wybaczać tym czy innym polskim emigracyjnym politykom, ich – jak mawiał w gronie swych ścisłych przyjaciół – idiotycznie, nieco chamskie, prymitywne i zażarte kłótnie. Twierdził, że polskie spory polityczne wynikały z niskiego poziomu intelektualnego wielu naszych polityków.

Temat, do którego trzeba nawiązać mówiąc o polskiej emigracji we Francji po roku 1945 – to paryska „Kultura” i całe środowisko związane z Instytutem Literackim. Jak z Pana perspektywy wyglądały relacje „Ambasady wolnej Polski” z tym środowiskiem?

Relacje mojego ojca z paryską „Kulturą” i Giedroyciem nie były najlepsze, mimo że byli w zasadzie przyjaciółmi od lat trzydziestych. Najbliższy przyjaciel ojca, Olgierd Raczyński, był opiekunem Giedroycia. Przed wojną finansował jego działalność wydawniczą i publicystyczną. Jednak ojciec po wojnie miał jakieś zatargi polityczne z Giedroyciem. Te stosunki bywały trudne i nie bardzo znam szczegóły dlaczego. Jednak były też inne relacje mojego ojca z ludźmi z kręgu „Kultury”, którzy bywali u nas w domu. Do jego najbliższych przyjaciół należeli w pierwszym rządzie Kot-Jeleński i Józef Czapski. Wspomnę, że moje stosunki z „Kulturą” były bardzo dobre. Niespecjalnie z nimi współpracowałem, chociaż zamieściłem kilka artykułów w „Kulturze”, ale miałem tyle pracy dla Wolnej Europy w zdobywaniu różnymi metodami tajnych informacji o tym, co zachodzi w PRL-u, że nie było czasu na inne działania.

Jak Pan wspomina funkcjonowanie Polaków we Francji po II wojnie światowej? Czy może Pan przybliżyć, jak kształtowały się relacje „starej emigracji” z nowymi grupami Polaków, którzy docierali do Francji z PRL?

Oni troszkę nam zazdrościli, że jesteśmy we Francji od lat, że jesteśmy doskonale urządzeni. Już pod koniec PRL-u, gdy wszystko się waliło, przyjeżdżała do Francji masa ludzi i my się nimi zajmowaliśmy, założyliśmy specjalny dom dla nich. Ksiądz prałat Eugeniusz Plater¹¹ otaczał ich opieką. Nasza stara emigracja już zasiedziała we Francji miała stałe posady, stałe zarobki i ja jako pracownik Radia Wolna Europa żyłem z emerytury, a moja żona natomiast, która posiadała majątek ziemski w centralnej Francji, miała dzięki temu swoje dochody.

Jaki miał Pan stosunek do przemian roku 1989?

Witałem je z radością.

Czy wiązał Pan jakiegokolwiek nadzieje na to, że wolna Polska zwróci się do Pana, jako byłego dyplomaty Rządu RP na Uchodźstwie? Czy istniała jakiegokolwiek perspektywa, że rodząca się III RP wykorzysta Pana doświadczenie, kontakty, potencjał?

Przed laty minister Skubiszewski obiecywał mi pozytywnie zająć się emigracyjną dyplomacją. Mawiał, że nam, emigracyjnym dyplomatom, nada status honorowych współpracowników Ambasad już wolnej Polski. Dlatego przemiany w Polsce dotyczyły mnie osobiście.

Jak zatem ta sytuacja rozwijała się dalej?

Krzysztof Skubiszewski obiecał mi, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych już wolnej Polski otoczy opieką byłych rzeczywistych diploma-

11. W stanie wojennym ksiądz Plater był organizatorem akcji pomocy charytatywnej dla Polski. Założył we Francji ponad 360 komitetów pomocy, Dom Emigranta w Paryżu i stworzył specjalny fundusz stypendialny dla azylantów.

tów byłego Rządu RP w Londynie i będzie z nimi w kontakcie. Skubiszewski opracowywał jakiś plan stałej współpracy MSZ-tu wolnej już Polski z byłymi dyplomatami Rządu RP na wygnaniu w Londynie. Co się stało, że planu tego nie wcielono w życie?

No właśnie – bardzo dobre pytanie, które powinienem skierować do Pana.

Nic z tego nie wyszło. Nie wiem dlaczego. W latach dziewięćdziesiątych wszechmocnymi ponoć jeszcze byli dyplomaci PRL-u. Różnie bywało, ale niestety, niektórzy spośród nich inaczej traktowali emigracyjnych dyplomatów. Podobno storpedował to Aleksander Kwaśniewski, czy to jest prawda, nie wiem. Skubiszewski był człowiekiem, jak wiadomo, dość słabym. Zresztą sprawą zajmował się dziwny, ale bardzo uzdolniony człowiek – Makarczyk¹². Odgrywał wtedy ważną rolę w dyplomacji.

To w wielkim skrócie o mnie i moim losie.

Dziękuję bardzo.

12. Jerzy Makarczyk w latach 1989–1992 pełnił funkcję wiceministra spraw zagranicznych.

Wirydianna Rey (ur. w 1935 roku) i **Katarzyna Raczyńska**

(ur. w 1939 roku) są córkami Edwarda Bernarda hr. Raczyńskiego (1891–1993) – jednej z najbardziej zasłużonych dla polskiej emigracji politycznej postaci. W trakcie swojego życia ich ojciec pełnił funkcję m.in. ambasadora RP w Londynie (1934–1935) i ministra spraw zagranicznych (1941–1943). Był twórcą pierwszego na świecie raportu o Holokauście, który został wystosowany jako nota dyplomatyczna rządu RP dla aliantów zachodnich. W okresie po drugiej wojnie światowej pozostał wraz z władzami RP i tysiącami uchodźców w Wielkiej Brytanii. Był członkiem Rady Trzech (1954–1972), a w latach 1979–1986 Prezydentem RP na Uchodźstwie, będąc najstarszym w historii Prezydentem Polski.

Matką Wirydianny i Katarzyny była druga żona Edwarda, Cecylia Jaroszyńska. Najstarsza z siostr, Wanda Dembińska (ur. 1933 r.) zmarła w 2016 roku.

Obie Panie całe życie spędziły na emigracji. Wirydianna Raczyńska w 1967 roku poślubiła hr. Xawerego Reya i zamieszkała we Francji. Pani Katarzyna Raczyńska po studiach z historii europejskiej oraz bibliotekarstwa w University College London pracowała w bibliotekach w Wielkiej Brytanii oraz w New York Public Library. Najdłużej, bo przez trzydzieści lat pani Katarzyna pracowała w bibliotece School of Oriental and African Studies (University of London). Jest członkiem Rady Fundacji Lancorońskich oraz Rady Fundacji Raczyńskich przy Muzeum Narodowym

w Poznaniu. Przez 20 lat była prezesem Fundacji z Brzezia Lanckorońskich.

Wywiady zostały przeprowadzone z obiema paniami oddzielnie, przez telefon. Taką formułę wymusiły ograniczenia związane z pandemią koronawirusa. Mimo to oba dialogi uzupełniały się do tego stopnia, że autorzy postanowili stworzyć z nich wywiad, jako zapis jednej rozmowy, poświęconej Edwardowi hr. Raczyńskiemu.

[Bartosz Czajka] Urodziły się Panie tuż przed wojną i wychowywały w Londynie. Jakie są, z perspektywy dziecka, wspomnienia z tamtego okresu?

Katarzyna Raczyńska: Jako dzieci byliśmy poza Londynem prawie cały czas. Rodzice przyjeżdżali na weekendy, gdy tylko mieli możliwość, ale tak naprawdę te wizyty były sporadyczne. Ojciec był bardzo zajęty, jak pan może sobie wyobrazić. Mieliśmy kontakt, widywaaliśmy rodziców, ale tej bliskiej relacji brakowało, szczególnie w najwcześniejszych latach wojny. Po wojnie to się zmieniło i te stosunki były jak najbliższe.

Ja się urodziłam w 1939. Nie mogę powiedzieć, że dobrze pamiętam tamte lata. Mam takie przebląski. Pamiętam bombardowanie, bo byliśmy krótki czas w Londynie i wtedy byliśmy w ambasadzie¹. Tam była taka suterena i za nią się schodziło [do schronu] jak było bombardowanie. Ambasada znajdowała się blisko BBC i zawsze była bardzo zagrożona. Więc pamiętam.

Wirydianna Rey: Pamiętam, jak był alarm bombowy, to się szło do schronu na dół, pod ambasadą. Myśmy jako dzieci długo nie były w Londynie, bo w ogóle wiele dzieci, także angielskich zostało wziętych przez inne rodziny na wieś i podczas wojny prawie wcale w Londynie dzieci nie było. Przebywałyśmy u różnych znajomych rodziców, poza Londynem, a rodzice dojeżdżali do nas jak tylko mogli, na weekendy. Po wojnie mieszkaliśmy już oczywiście poza ambasadą. Jak cofnięto uznanie naszemu rządowi, to myśmy się wynieśli od razu i mieszkaliśmy na przedmieściach Londynu. Ze starszą siostrą Wandą, która już niestety nie żyje, byliśmy pensjonarkami i wracałyśmy do domu tylko na wakacje. Później, podczas pobytu na wyższych studiach, wróciłam do domu i tam mieszkałam. Mama umarła w 1962 roku i przez kolejne lata (do 1967 roku) żyłam, częściowo wraz z siostrą, przy ojcu. Potem miał wielkie szczęście, że pani Aniela

1. Polska ambasada w Londynie do dziś znajduje się przy Portland Place 47.

Mieczysławska² zajęła się nim zupełnie, a ja swobodnie mogłam wyjść za mąż i wyjechać za granicę.

Czy w późniejszym okresie miały Panie okazję rozmawiać z ojcem o jego ówczesnej działalności jako dyplomaty?

Katarzyna Raczyńska: Nie bardzo. Byłyśmy młode i zajęte innymi rzeczami. Rozmawiałyśmy z siostrą parę dni temu i właśnie wspominałyśmy, że w domu rozmawiałyśmy z ojcem o różnych rzeczach, o historii, o literaturze, o codziennych sprawach i tak dalej. Nie mówiło się dużo o tym, co robił w tym czasie. Wiedziałyśmy, czym się zajmował, ale w domu mówiliśmy o innych sprawach. Było zupełnie inaczej, on był naszym ojcem i to był inny stosunek, dużo bliższy niż we wcześniejszych latach. Naturalnie, później, gdy już byłam dorosła, wiele mu czytałam. Czytając książki, które dotyczyły tego okresu, ojciec dużo opowiadał mi o różnych wydarzeniach, które wtedy się działy. Wcześniej byłam za młoda i mało interesowałam się tymi rzeczami. Natomiast o polityce w domu się nie mówiło. O sztuce, o literaturze, o historii i o Polsce owszem. Zawsze dużo o Polsce, o jej całej kulturze. Ojciec zawsze nam czytał wieczorem, jak byłyśmy małe. Wybierał coś z polskiej literatury. Dzięki niemu poznałyśmy Sienkiewicza, Żeromskiego, Mickiewicza. Tata bardzo ładnie czytał, do czasu kiedy mógł, bo miał problemy z oczami. Później matka przejęła te obowiązki.

Wirydianna Rey: Ja mieszkałam w Anglii do 1967 roku, kiedy wyszłam za mąż. Od tego czasu mieszkam we Francji. Nie miałam okazji śledzić z bliska tego, co się działo w środowisku emigracji w Wielkiej Brytanii. Ale często odwiedzałam ojca. Nawet jak moje dzieci były małe, wysyłałyśmy je na wakacje nad morze, gdzie dzieci spędzały krótkie

2. Aniela Mieczysławska (1910–1998) po śmierci żony Edwarda Raczyńskiego, Cecylii, została jego partnerką życiową. Ślub wzięli w roku 1991, gdy zmarł pierwszy mąż Anieli, Witold Mieczysławski.

wczasy pod opieką siostr szarytek. Wtedy korzystałam z tego czasu, żeby jechać do Londynu, odwiedzać ojca. Przynajmniej raz w tygodniu rozmawialiśmy także przez telefon, ale poza tym byłam właściwie poza Londynem.

Ponoć ulubioną lekturą ojca było „Ogniem i mieczem”, to prawda?

Katarzyna Raczyńska: On kochał całą literaturę polską. Sienkiewicza szczególnie, bo to są historie pięknie napisane. „Trylogię”, „Quo Vadis?”, „W pustyni i w puszczy”. Te wszystkie cudowne dzieła nam czytał. Dzięki niemu, tak naprawdę, poznałyśmy podstawowe dla literatury polskiej dzieła. Także „Faraona” Prusa i różne inne książki. To było bardzo miłe.

Wirydianna Rey: Nasz ojciec był cudownym ojcem. On, co prawda nie bardzo dobrze sobie radził z niemowlakami, ale jak człowiek kończył siedem lat, to później ojciec uczył go grać w tenisa, pływać. Czytał nam też na głos, póki jeszcze mógł, mama też nam dużo czytała. „Trylogię” mieliśmy całą przeczytaną, ale zaczęliśmy oczywiście od „W pustyni i w puszczy”, potem były nowele Prusa, potem „Faraon”. Wtedy nie było telewizora, to było dużo łatwiej. Teraz dzieci nie będą słuchać czytania, niestety... Jak byliśmy młodsze, to się jeździło na wakacje z rodzicami. Pamiętam, jak pojechałyśmy na wakacje do Holandii, to trzeba było dużo czytać o sztuce holenderskiej, o malarstwie i tak dalej. Ojciec bardzo chciał, żebyśmy dużo wiedziały o tym, co oglądamy. Na dalszym planie były sprawy polityczne, choć co prawda czytało się dużo na głos. Ojciec zawsze miał przeczytaną „Kulturę”, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, „Wiadomości Literackie”, „Zeszyty Historyczne”³. Był bardzo czytany.

3. Wymienione publikacje były najbardziej znaczącymi dla nauki i kultury polskiej periodykami, wychodzącymi na emigracji. „Kultura” ukazywała się w latach 1947–2000, początkowo w Rzymie, od 1948 w Paryżu, jej redaktorem naczelnym był Jerzy Giedroyc; „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” był najpopularniejszym pismem polonijnym ukazującym się w Wielkiej Brytanii; powstał po połączeniu się w 1943 r.

W Pań domu rodzinnym mogło gościć wiele znamienitych postaci. Czy pamiętają Panie te spotkania?

Katarzyna Raczyńska: Tata często przyjmował gości w Klubie. On był członkiem Klubu St. James⁴ i tam było wygodniej, bo mieścił się w centrum miasta, a myśmy mieszkali na przedmieściach. Owszem, przychodzili ludzie do domu, ale rzadziej. Mało tych wizyt pamiętam. Spotykali się także w Ognisku Polskim, cała grupa dawnych żołnierzy, generał Anders i różne inne osoby, w tym mój ojciec.

Wirydianna Rey: Ojciec nie tak dużo „bywał” czy spotykał się ze znajomymi. Miał bardzo słaby wzrok i niezwykle cenił sobie te wieczory w domu, gdy moja matka czytała mu na głos. Miał także lektorki, które mu czytały podczas dnia, także on wiedział o wszystkim, co się dzieje i był bardzo dobrze poinformowany. On właśnie bardzo cenił sobie te momenty w domu, gdzie mógł poświęcić czas rodzinie. Myśmy byli bardzo „mało światowi”, że tak powiem.

Więcej spotkań miało miejsce, jak mój ojciec się przeniósł do miasta (ja mówię „do miasta”; myśmy zawsze w mieście mieszkali, ale na peryferiach). Jak wyszłam za mąż, to było w 1967 roku, to tata się wyprowadził do centrum Londynu i wtedy było mu dużo łatwiej zapraszać gości. Bo przedtem, to właściwie jak tata miał spotkanie z kimś w celu omówienia ważnych spraw, to zapraszał na lunch do Klubu St. James. W domu raczej była rodzina, to był dom rodzinny i mało

„Dziennika Polskiego” i „Dziennika Żołnierza” (obu powstałych w 1940 r.); „Wiadomości Literackie” (właściwie „Wiadomości”) były emigracyjną kontynuacją wychodzącego przed wojną periodyku kulturalnego. Ukazywały się w Londynie w latach 1946–1981, ich pierwszym redaktorem był Mieczysław Grydzewski; „Zeszyty Historyczne” ukazywały się od 1962 roku jako półrocznik, następnie kwartalnik Instytutu Literackiego w Paryżu. Poświęcone były najnowszej historii Polski, publikowały nieskrępowane cenzurą artykuły, wspomnienia i dokumenty. Redaktorem pisma był do swojej śmierci w 2000 roku Jerzy Giedroyc.

4. The St James's Club był klubem dla dżentelmenów założonym w 1857 roku w Londynie. Jego członkami byli przede wszystkim dyplomaci i pisarze. Od 1868 siedzibą klubu był gmach przy Piccadilly 106. W 1978 roku zakończył działalność.

ludzi właściwie do nas przyjeżdżało. Tata spotykał się także w biurze, bo miał biuro w Londynie, w Polish Research Centre. Można więc powiedzieć, że mieliśmy życie bardzo rodzinne i nie było dużo „świątowości”.

W swojej działalności Edward Raczyński stronił od sporów politycznych, przedkładając nad to jak najlepsze wykonywanie swoich obowiązków w duchu służby i pojednania.

Katarzyna Raczyńska: On był osobą ogromnie tolerancyjną, słuchał ludzi, bardzo im pomagał. Nigdy niczego nie odraczał. Gdy prosili go o coś, to natychmiast to spełniał, jak tylko mógł najlepiej. Dobrze to pamiętam i próbuję stosować w moim życiu, choć jest to rzecz trudna do wykonania. Ale on był wspaiały pod tym względem. Ogromnie dużo robił po wojnie. Ludzie się zwracali do niego, bo jeszcze miał kontakty z angielskimi politykami. Wielu ludzi znał, bo był tam od '34 roku i jeszcze przedtem, jako student, więc naprawdę miał kontakty. Może inni tyle nie mieli.

Wirydianna Rey: Jego ogromnym atutem było, że bardzo dobrze znał Anglię, miał wielu znajomych Anglików. Co prawda, kiedy ojciec umierał w wieku prawie 102 lat, to większość z tych, których znał, już nie żyła. Ale znał wiele wpływowych osób i jeszcze się trochę liczył w Anglii.

Hrabia Raczyński bardziej zaangażował się w sprawy dotyczące Polskiego Państwa na Uchodźstwie po powstaniu tzw. Rady Trzech, gdzie prym wiódł generał Władysław Anders. Relacje między generałem a ojcem Pań różnie się układały, ale mimo wszystko obaj się szanowali.

Katarzyna Raczyńska: Tak, szanowali i lubili. Ojciec uważał generała Andersa za wspaiałego człowieka. Ich stosunki może na początku były trudniejsze, ale później zrodziła się między nimi przyjaźń. To nie była formalna relacja, ale przyjaźń.

Czy mogą Panie coś więcej powiedzieć na temat tych relacji, czy to na stopie politycznej czy prywatnej?

Katarzyna Raczyńska: Spotykali się bardzo często, ale mnie nie było na tych spotkaniach. Więc trudno mi coś powiedzieć. Wiem, że ojciec zawsze bardzo ciepło i z wielkim uznaniem mówił o Andersie. Naprawdę z wielkim uznaniem. Nigdy nie słyszałam żadnej krytyki. To naprawdę o czymś świadczy, bo gdy się jest w prywatnym gronie to się inaczej [bardziej szczerze] mówi o ludziach, a ja nie słyszałam, żeby ojciec kiedykolwiek krytycznie mówił o Andersie.

Wirydianna Rey: Wiem, że ojciec bardzo cenił Andersa. Władysław Anders był obecny na przyjęciu w Londynie przed moim ślubem. Podobnie, gdy moja siostra Wanda wychodziła za mąż 10 lat wcześniej, to także zaproszono generała. Są zdjęcia, jak Wanda wita się z generałem i jego żoną.

Ojciec Pań starał się jednoczyć opozycję, bo mieliśmy wówczas pewien podział na emigracji. Chciał jak najbardziej otworzyć się na przybyszów z kraju, zza żelaznej kurtyny, podczas gdy część emigracji była na nich zamknięta. Edward Raczyński udzielał ogromnego wsparcia opozycjonistom w kraju.

Katarzyna Raczyńska: Tak, to prawda.

Czy Panie pamiętają najsłynniejsze postacie, jakie przybywały do mieszkania ojca?

Katarzyna Raczyńska: Proszę pana, na początku mało było takich osób, bo ludzie nie mogli przyjeżdżać. Niemal wszystko ograniczało się do korespondencji, dopiero dużo później zaczęły się przyjazdy. Ale najlepszym dowodem na potwierdzenie tych poglądów ojca, że trzeba wspierać ludzi w kraju, było to, że myśmy pojechały z siostrą w 1965 roku do Polski. I ojciec był bardzo za to krytykowany. On uważał,

słusznie, że nie można wymagać od dzieci, żeby się czuły Polakami, jeżeli nigdy w kraju nie były i nic o nim nie wiedzą. Więc naprawdę się cieszył, że tam pojechaliśmy i był przejęty tym, co tam robiłyśmy. I to było miłe z jego strony, że nawet nic nie powiedział o krytyce, która go spotkała. Dowiedziałam się o tym dopiero później.

Edward Raczyński nigdy nie zdecydował się na przyjęcie brytyjskiego obywatelstwa.

Wirydianna Rey: Nigdy. Był Polakiem i nie chciał przyjąć brytyjskiego obywatelstwa. Przebywaliśmy w Anglii jako uchodźcy polityczni. Jak już była wolna Polska, to nie wrócił, bo był bardzo stary, a poza tym miał już bardzo słaby wzrok, prawie nic nie widział. Ja też jeszcze mam u siebie paszport z moją fotografią – dwuletniej dziewczynki. Przed wojną jeździliśmy do Polski w lecie, na wakacje. Byłam także na pogrzebie mojej babki w 1937 roku i wtedy musiałam mieć paszport. I zatrzymałam go. Potem byłam właściwie bez paszportu, ale po 1989 roku poszłam do ambasady i dostałam polski paszport. Co prawda orzeł jeszcze nie miał na nim korony, ale to już był prawdziwy polski paszport.

Ojciec zachęcał, aby Panie przyjęły obywatelstwo brytyjskie?

Wirydianna Rey: Nie zachęcał, ale i nie odradzał, bo powiedziałyśmy, że chcemy poznać nasz kraj i ojciec uważał, że to jest słuszne. Nie mogliśmy jechać właściwie na tych uchodźczych papierach, gdy nie miałyśmy paszportu. Pamiętam, że poszłam z moją matką po taki „travel document”. Jak się było uchodźcą, to się dostawało taki dokument do podróży, ale to nie był angielski paszport. I ja poszłam właśnie po taki. Powiedziano mi tam: „Pani jest Brytyjką, bo pani się urodziła w Londynie”, a mama odparła: „Nie, ona jest Polką”. I wtedy nie dostałyśmy dokumentów podróży. Mama nie chciała, żebyśmy przyjęły paszport angielski. Dopiero jak ukończyłam 27 lat to przyjąłam obywatelstwo brytyjskie, ale bardzo się cieszę, że mam i polskie i brytyjskie, bo

teraz po brexicie byłoby bardzo niewygodnie mieć tylko angielskie. Od 53 lat natomiast żyję we Francji, ale nie mam francuskiego obywatelstwa. Bardzo lubię Francję, mam dużo znajomych Francuzów, ale uważam, że polski i brytyjski paszport w zupełności mi wystarczy. Szczególnie polski.

Czy podróż do Polski, do Rogalina, do Warszawy, wpłynęła na Pań poczucie polskości?

Katarzyna Raczyńska: Tak, wpłynęła, ale ja się cieszyłam, że ojciec tego nie widzi. Był to czas, gdy w Polsce było tak szaro, smutno, czuć było pewną beznadziejność. Ja wiem, że rządził wtedy Gomułka i było trochę lepiej niż przedtem, ale jednak ludzie byli tacy, było takie uczucie ... nie wiem, trudno to opisać. Wszystko było w złym stanie, i Rogalin, i Kraków, piękny Kraków, ale... wszystkie budynki tam źle wyglądały. I to napawało smutkiem. Duże wrażenie zrobił na nas kontrast między naszym życiem w Anglii, która może nie była najbogatsza, wszędzie przecież są jakieś problemy, a tym, co przeżywali ludzie w Polsce. Człowiek czuł wstyd, że my mamy tak dobrze, a oni tak źle.

Służby PRL'u doskonale wiedziały, kim Panie jesteście. Przypominam sobie historię z zaginioną torebką, kiedy milicjanci dali to Paniom odczuć.

Katarzyna Raczyńska: Tak, to było straszne. Ja pamiętam moment, kiedy ta torebka została odratowana. My szczęśliwie byliśmy u krewnych w Polsce. Inaczej nie można było dostać hotelu, bez paszportu. Ale na szczęście miałyśmy kuzynkę, która nas przyjęła i jakoś to wszystko dobrze się skończyło.

Właściwie byłąście w obcym kraju, opanowanym przez komunistów...

Katarzyna Raczyńska: Z drugiej strony to też pokazało uczciwość Polaków. W kraju była bieda, a w tej torebce były i pieniądze, i inne wartościowe rzeczy. Jakiś pan znalazł tę torebkę przy drodze. W środku

był adres ciotki z Krakowa i on napisał do niej mówiąc, że ma tę torbę i prosi, żebyśmy ją odebrali. To naprawdę było godne podziwu, że wszystko oddali, że nic nie zabrali. Niesamowita była ta uczciwość, szczególnie w takich ciężkich czasach.

Na pewno pomimo tej biedy taka postawa była budująca.

Katarzyna Raczyńska: Tak. Myśmy naturalnie podziękowali za to i dali nagrodę, ale ci ludzie też nie mieli przecież pewności, że coś dostaną.

Wróćmy do tamtych czasów, kiedy Edward Raczyński pełnił bardzo ważne funkcje w ramach Polskiego Państwa na Uchodźstwie. Jego ogromny autorytet zaowocował tym, że w 1979 roku został Prezydentem RP na Uchodźstwie.

Wirydianna Rey: On przyjął tę funkcję, ten honor, ale mówił, że wcale nie był pewien, czy dożyje do końca. Ale udało się. A po nim był jeszcze Sabbat i Kaczorowski⁵.

Z Kazimierzem Sabbatem hrabia Raczyński także bardzo blisko współpracował. Mieli chyba wspólną wizję tego, jaką rolę powinna odgrywać emigracja.

5. Kazimierz Sabbat (1913–1989) – w czasie wojny żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, w późniejszych latach działacz emigracyjny, harcerz, członek Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, członek (od 1954 r.), a następnie prezes (1967–1972) Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego. W latach 1986–1989 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie; Ryszard Kaczorowski (1919–2010) – sybirak, żołnierz II Korpusu Polskiego, po wojnie na emigracji, gdzie ukończył Szkołę Handlu Zagranicznego. Aktywny działacz emigracyjny, szczególnie silnie związany z harcerstwem (w latach 1967–1988 przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego na Uchodźstwie). Członek Rady Narodowej, od 1986 roku minister bez teki w Rządzie RP na Uchodźstwie. W latach 1989–1990 Prezydent Rzeczypospolitej na Uchodźstwie, był ostatnią osobą pełniącą tę funkcję. W grudniu 1990 roku przekazał insygnia prezydenckie Lechowi Wałęsie.

Wirydianna Rey: Bardzo lubił i szanował pana Sabbata. To był bardzo konkretny człowiek i mój ojciec uważał go za najlepszego kandydata w tym czasie. Niestety, bardzo krótko pożył.

Kiedy Pań ojciec obejmował urząd Prezydenta RP na Uchodźstwie to był taki szczególny czas, gdy papieżem został Jan Paweł II.

Katarzyna Raczyńska: Tak, to było niesamowite. Te okrzyki radości, kiedy wybrali papieża. To było cudowne i dla ojca, i dla całego społeczeństwa polskiego. Niezapomniany moment. Jak zaczął się czas „Solidarności” i wszystko się zmieniało, to ja często byłam z ojcem. On już bardzo źle widział, ale słuchaliśmy radia. Miał dostęp do polskiego radia, poza tym słuchał radia Wolna Europa. I ja też dużo mu czytałam, jego żona, i inni ludzie przychodzili mu czytać. Ojciec całkowicie żył tym, co się działo. To była wielka radość, podniecenie, niesamowite podniecenie. I to uczucie ojca, że urodził się poddanym Austrii, potem był Polakiem, potem, w czasach komunizmu, jak gdyby wszystko stracone, a teraz znów powraca prawdziwa Polska. To było fantastyczne.

A w jaki sposób ojciec przeżył to, co się stało po 1981 roku i okresie stanu wojennego?

Wirydianna Rey: Mnie wtedy nie było w Londynie, ale pamiętam, że ojciec ogromnie się wówczas zaangażował. Organizował zbiórki dla represjonowanych⁶, a później, jak już mogli przyjeżdżać z Polski

6. Należy przypomnieć, że Edward Raczyński wielokrotnie inicjował zbiórki pieniężne i materialne dla Polaków w kraju. Już w 1957 roku współtworzył Centralny Komitet Pomocy Rodakom w Kraju, w 1976 roku Obywatelski Komitet Zbiórki na Pomoc Ofiarom Wydarzeń Czerwcowych – potem Obywatelski Komitet Pomocy Robotnikom, w 1977 roku uczestniczył w powołaniu Funduszu Wolności Słowa. Te dwie ostatnie organizacje połączyły się w Fundusz Pomocy Krajowi w 1979 roku, pomagając m.in. ofiarom stanu wojennego. Na czele Komitetu Funduszu stał, z racji pełnionego urzędu, prezydent Edward Raczyński. Z oficjalnym apelem o pomoc aresztowanym i internowanym oraz ich rodzinom prezydent wystąpił już 21 grudnia 1981 roku.

te osoby, które później rządziły i miały w Polsce znaczenie – prawie wszystkie kierowały się właśnie do ojca. Ojciec żył tym, co się działo w kraju. To dla niego była ogromna radość. On z bardzo dużą życzliwością ich traktował i jak tylko była okazja, przyjmował Polaków z kraju u siebie, całą masę osób. Urodził się przed pierwszą wojną światową, gdy Polski nie było na mapie. Potem była pierwsza wojna światowa, potem te dwadzieścia lat niepodległości, no a potem znowu wojna, potem reżim komunistyczny, rozpacz, ale w końcu doczekał się wolnej Polski i to dla niego była ogromna radość, ogromna. Pamiętam też, że wybór Karola Wojtyły na papieża był dla niego szalenie radosną nowiną. To dla niego było ogromnie ważne. Ojciec nawet miał okazję zobaczyć się z Janem Pawłem II. Wszyscy bardzo to przeżywaliśmy.

Katarzyna Raczyńska: Dużo osób z Polski odwiedzało wtedy ojca. Wałęsa go odwiedzał, był wtedy dwa razy u niego⁷, poza tym masa innych polityków. Ojciec był doskonale zorientowany w tym, co się dzieje w kraju. Goście go podziwiali, bo jego wiedza i rady były bezcenne. Wydaje mi się, że jego sposób myślenia był szalenie młodzieńczy.

Tak, ze wspomnień wynika, że Pań ojciec mimo sędziwego wieku zachował taką młodzieńczą żywotność, bystrość umysłu.

Katarzyna Raczyńska: Ale i pamięć. Miał nieprawdopodobną pamięć. Teraz ja, z mojej perspektywy, bo jestem już stara, oceniam jego pamięć jako niesamowitą. Trenował ją, bo stracił wzrok dość wcześnie. To znaczy widział trochę, ale nie mógł czytać ani robić różnych innych rzeczy. Dużo młodych studentów, doktorantów, przychodziło do niego i rozmawiali o wojennych czasach, i również mieli odczucia, że pamięć ojca jest dobra. Bardzo chętnie im pomagał i miło ich przyjmował.

7. Lech Wałęsa odwiedził Edwarda Raczyńskiego w grudniu 1989 roku.

Chciałem jeszcze dopytać o moment wybuchu stanu wojennego w grudniu '81 roku. Wiem, że Prezydent miał takie wrażenie, że nie można dopuścić do tego, żeby Polacy znowu zostali osamotnieni w walce. Podejmował wiele działań, aby pomóc Polakom w kraju.

Katarzyna Raczyńska: Ojciec obawiał się, że to się skończy krwawo. Niepokoił się, że wybuchnie drugie powstanie warszawskie.

I w końcu nadszedł rok '89, kiedy odbyły się pierwsze częściowo wolne wybory i Edward Raczyński otrzymał polski paszport III Rzeczypospolitej, bo nie chciał dotychczas przyjąć paszportu brytyjskiego. Czy ojciec miał jeszcze okazję ocenić to, co działo się wówczas w Polsce? To, jak ta niepodległość odzyskana zaczęła być wykorzystywana, czy to szło w dobrą stronę? Bo w Polsce znowu zaczęły się podziały polityczne, zaczęły się konflikty. Jak z perspektyw Londynu oceniał to Edward Raczyński?

Katarzyna Raczyńska: Zawsze bardzo bał się tych konfliktów i mówił, żeby nie marnować niepodległości. Ale wtedy jeszcze te konflikty nie były tak wielkie. Wszystko się odbudowywało, Polska podniosła się bardzo szybko, niespodziewanie szybko. I on to widział, zawsze pilnie słuchał wszystkich audycji radiowych i ciągle był dobrze zorientowany w sytuacji w kraju.

Różne postacie, które na emigracji przechowały depozyt niepodległości, po roku '89 roku były doceniane poprzez różne zaszczyty, fotografie, wywiady. Jednak czy przypadkiem ich doświadczenie i zaangażowanie nie było w jakiś sposób zaprzepaszczone?

Katarzyna Raczyńska: Tego bym nie powiedziała. Ojcu przypadło wiele zaszczytów, uhonorował go Poznań i Kraków, Uniwersytet Jagielloński. Miał doktorat tej uczelni, ale mieć tytuł honorowy to wielki zaszczyt i przyjemność. I wygłosił wspaniałe przemówienie z tej okazji. Dlatego nie zgodziłabym się z tym.

Rozumiem, jednak polska arystokracja, w tym Pań tata, miała ogromne kontakty, może nie wpływy, bo to się nie zawsze tak przekładało, ale kontakty w środowisku angielskiej i w ogóle zachodniej arystokracji. I odnośnie wrażenie, że polski rząd nie zawsze te kontakty, utrzymywane przez kilkadziesiąt lat komunizmu, umiał wykorzystać w procesie odradzania się polskiej dyplomacji.

Katarzyna Raczyńska: Na początku może te kontakty miały znaczenie. Później ci ludzie, których znał, zaczęli umierać. W końcu ojciec miał 102 lata, gdy sam zmarł. Pod koniec jego życia, tych ludzi, których on znał osobiście, było bardzo mało i wówczas już się mało liczyli. Więc tych kontaktów nie było jak wykorzystać. I w tym tkwił problem, moim zdaniem. Poza tym ludzie się interesowali Polską głównie w czasie „Solidarności”, gdy komunizm się walił, gdy Polska była z tego powodu bardzo modna. Potem to się zmieniło.

Ten okres schyłku życia Edwarda Raczyńskiego jest też okresem odradzania się Polski i Polaków, to jest czas „Solidarności” i odzyskiwania ponownie niepodległości. Pań ojciec ma ogromne zasługi w zakresie wsparcia opozycji demokratycznej, wsparcia poszczególnych dysydentów.

Katarzyna Raczyńska: Tak, to prawda. Prowadziliśmy zbiórki, żeby pomagać tamtym osobom. Ojciec to zainicjował, razem z panem Sabbatem, który był jego zastępcą. Współpraca z dysydentami w kraju to była nowość, ale rzecz świetna i bardzo ważna. Byli tacy, którzy nie chcieli żadnych kontaktów z Polską, uważali, że komunizm jest okropny i nie angażowali się. A jednak to było bardzo potrzebne.

Bardzo dziękuję za te niezwykle wspomnienia!

Katarzyna Raczyńska: Nie wiem, na ile Panu pomogłam, mniej znam się na polityce, szczególnie na tych wcześniejszych czasach. Dla mnie ojciec był przede wszystkim ojcem, czułym i wspianiałym ojcem, zawsze potrafił uważnie słuchać.

Myszę, że najważniejsze jest to, jakiego ojca się pamięta.

Katarzyna Raczyńska: I jakie różne zasady życiowe przekazał, które trwają. I moja matka też je wpajała.

Właśnie. To niesamowite, że ojciec zaszczepił w Paniach poczucie polskości mimo tego, że Panie wychowywały się w środowisku angielskim.

Katarzyna Raczyńska: Kompletnie angielskim. Ale co jest podziwu godne, że moja siostra i jej dzieci mówią wspaniale po polsku. Najmłodszy syn mieszka w Krakowie, jest tam już od 20 lat.

Czy pamięć o Pań ojcu jest wciąż żywa w rodzinie?

Wirydianna Rey: Szalenie żywa! Nasze dzieci znały mojego ojca, może nie bardzo dobrze, bo one tylko przyjeżdżały na krótki czas, ale go znały i poczuwały się do polskości. Mój młodszy syn, Edward, jest kawalerem i nie ma dzieci. Za to jego starszy brat, Xawery ma żonę, która jest Amerykanką. Pomimo, że jest dyplomatą francuskim, czuje się Polakiem. Ich dzieci trochę mówią i rozumieją po polsku. Uczyły się też czytać i pisać.

W domu nie można było mówić po angielsku, z tego co mi wiadomo.

Katarzyna Raczyńska: Muszę przyznać, że my z siostrą między sobą mówiłyśmy po angielsku. Z rodzicami nigdy. Często, gdy wracałam ze szkoły i rozmawialiśmy po angielsku, ktoś prosił: „Powiedz to po polsku”. Na początku mnie to strasznie gniewało i irytowało, ale później doceniłam fakt, że dzięki rodzicom mówię w ojczystym języku. Poza tym, jak wspomniałam, dużo czytałam ojcu.

Pań kontakty z tatą w późniejszym okresie głównie na tym się opierały?

Katarzyna Raczyńska: W późniejszych latach tak. Czytałam mu artykuły, gazety, ale także książki. Ja skończyłam historię, on był pasjonatem historii i literatury. Czytaliśmy masę ciekawych książek, to było też dla mnie przyjemnością. To bardzo nas zbliżało. Szalenie. Później często rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy. Gdy były książki o wydarzeniach, które on przeżył sam, to dużo opowiadał. Żałuję, że tego nie nagrywałam.

Na szczęście zostały wywiady dla Radia Europa, wspomnienia „W sojusznicy Londynie” i inne dzieła. I to są pierwszorzędne źródła, jeśli chodzi o historię polityczną Polski przed, w czasie i po II wojnie światowej. Prace Pani ojca są napisane sprawozdawczym językiem, ale jednocześnie piękną polszczyzną.

Katarzyna Raczyńska: Tak, ojciec był prawdziwym literatem. Gdy sama powracam do jego książek, uderza mnie ten styl, śliczny styl. Na przykład jego książka o Rogalinie jest piękna. Poza tym miał duże poczucie humoru, o czym się rzadko mówi. Odnosił się z wielką tolerancją do ludzi. Był przemyślnym człowiekiem. Wszyscy młodszy studenci, którzy go poznawali, byli pod jego urokiem. Był dla nich ciepły i pomocny. Na początku się bali, przed przyjściem zastanawiali się, jak to będzie, a okazywało się, że zawsze było miło.

Właśnie, z jednej strony ta elegancja, arystokratyczne manieri, a z drugiej duża swoboda bycia i wielka życzliwość.

Katarzyna Raczyńska: Kompletna prostota, żadnego snobizmu, co ja bardzo doceniam, a bycie snobem uważam za głupie. On nie miał w sobie ani odrobiny snobizmu.

Tym się odróżniał od wielu innych polityków, wojskowych, którzy w Londynie zostali po II wojnie światowej. Tymi właśnie cechami charakteru.

Katarzyna Raczyńska: Tak, od takich ludzi pompatycznych. On był sobą, był czułym i kochającym ojcem. Po jego śmierci człowiek się czuł bardzo smutny.

Na szczęście dane mu było przeżyć wiele lat i doczekać wolności. I to jest ważne, by móc zobaczyć owoce tego, co się robiło przez całe życie.

Katarzyna Raczyńska: Tak. I jego pogrzeb był też niesamowitym przeżyciem. Było tyle osób, naprawdę ludzie go docenili. Jesteśmy za to bardzo wdzięczni.

W pełni na to zasłużył. Poza tym cała historia, można by rzec, zakończyła się pozytywnie.

Katarzyna Raczyńska: Tylko smutne jest, że on nie wrócił nigdy do Polski. Ale później, gdy Polska była wolna, on był niemal kompletnie niewidomy, zmęczony życiem. Choć muszę zaznaczyć, że jego umysł działał świetnie, tak samo pamięć. Jednak z powodu braku sił naprawdę nie mógł wrócić do Polski. Ale żył nią przez tyle lat...

Bardzo mi miło, że mogłem to od Pań usłyszeć, serdecznie dziękuję!

🌀 Fotografie



Generał Władysław Anders ze swoją żoną, Ireną (z prawej) i córką Anną, 1970.
Narodowe Archiwum Cyfrowe.



Pogrzeb Władysława Andersa. Najbliższa rodzina Generała. Od prawej siedzą – żona Irena, córka Anna Maria i córka Anna Anders-Nowakowska. Za nimi stoi ksiądz Franciszek Kącki. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

RZĄD R. P. NA UCHODZSTWIE
MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH

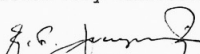
43 Eaton Place
London SW1X 8BX
Tel. 01-235 1480

12.2.1990

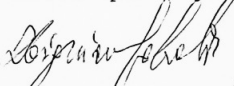
W Pan inż.
Zbigniew Dziembowski
320 Brooks St.
Menlo Park
0081
Republika Afryki
Południowej

Na podstawie uchwały Rady Ministrów z dnia 5 lutego 1990
oraz zgodnie z Dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
(Dz.U.R.P. Nr 1 z 1955r., poz 1) o powołaniu przedstawicieli
Rządu RP, powołuję Pana na stanowisko Delegata Rządu RP na
Republikę Afryki Południowej z dniem 15.2.1990 roku.


Prezes Rady Ministrów


prof. dr Edward Szczepanik

Minister Spraw Emigracji


Zbigniew Scholtz

Minister Spraw Zagranicznych


prof. dr inż. Zygmunt Szkopiak



Powołanie Zbigniewa Dziembowskiego na stanowisko delegata Rządu RP w 1990 roku. Archiwum Fundacji Dziedzictwa Polskiego w Afryce Południowej.

SKARB NARODOWY
GŁÓWNA KOMISJA

43 EATON PLACE
LONDON SW1X 8BX
Tel.: 01-235 2764

15 maja 1990

W Pan Inż. Zbigniew M. Dziembowski
Delegat Skarbu Narodowego na obszar Afryki Połud.
320 Brooks St.
Menlo Park 0081 RSA.

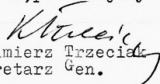
Wielce Szanowny Panie Ministrze,

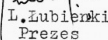
Mamy nadzieję, że Pan był łaskaw dostać nasz list z 22.2.90 powołujący Pana, wobec Pana zgody, chwilowo na naszego Delegata a z czasem może na Prezesa Komisji Skarbu Narodowego. Czy dostał Pan też od De Viriona, albo przez Bank książeczkę oszczędnościową z sumą wówczas na koncie wynoszącą R.1518.63.

Czy miał Pan już możliwość porozumieć się choć z niektórymi płatnikami Skarbu Narod. głównie w Johannesburgu, Capetown i Pretori. Mamy nadzieję, że Książę Prałat Jaworski zechce Panu udzielić pomocy, chociażby w swoich komunikatach parafialnych jak również Prof. S. Smoleniec. Chodzi nam o to, żeby wolni Polacy w Pana Kraju wiedzieli, jednak, że istnieją nadal akcja zbiórki na Skarb Narodowy, by dać odpowiednie podstawy dla działalności naszego Rządu na Emigracji. Choć bowiem, sytuacja w Kraju się zmienia, ale trwać jeszcze musimy, przynajmniej do okresu kiedy zostaną zarządzane prawdziwie wolne wybory do Sejmu i Senatu

Czy potrzebuje może Pan legitymacji Skarbu Nar. nowego typu lub ulotek, które możemy przysłać parę na wzór dla ewentualnego potem odbicia na Xeroxie i rozesłania w teren i do Waszej polskiej prasy.

Życząc wiele powodzenia w tej niewdzięcznej pracy i dziękując raz jeszcze za łaskawą zgodę na przedstawianie nas w Połud. Afryce, pozostajemy z wyrazami prawdziwego szacunku i poważania


Kazimierz Trzeciak
Sekretarz Gen.


L. Żubierki
Prezes

Pismo od Komisji Głównej Skarbu Narodowego do Zbigniewa Dziembowskiego, nowego delegata w RPA. Archiwum Fundacji Dziedzictwa Polskiego w Afryce Południowej.

RZĄD R. P. NA UCHODŹSTWIE
MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH

43 Eaton Place
London SW1X 8BX
Tel. 01-235 1480

W Pan Inżynier
Zbigniew, M. Dziembowski
Delegat Rządu R.P.
na Republikę Afryki Południowej
320 Brooks Street
Menlo Park 0081
Pretoria

22 grudzień 1990

Zgodnie z dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 20 grudnia 1990 roku o zakończeniu działalności i rozwiązaniu Rządu Rzeczypospolitej na Uchodźstwie i zgodnie z Protokołem sporządzonym na Zamku Królewskim w Warszawie w dniu 22 grudnia 1990 roku, zwalniam Pana z urzędu Delegata Rządu R.P. na Uchodźstwie z dniem 22 grudnia 1990 roku.

Prezydent Rzeczypospolitej i Rząd R.P. na Uchodźstwie, kończąc swoją działalność po osiągnięciu celów, dla których pozostaliśmy na emigracji - osiągnięcie Niepodległości Państwa i Wolności Narodu - pragnie podziękować Panu za nieugiętą postawę oraz aktywną, ofiarną i bezinteresowną współpracę dla osiągnięcia tych ideałów.

Wierzymy, że chociaż bezpośrednie cele i formy działania zmienia się, będzie Pan w dalszym ciągu pracował na terenie kraju swego osiedlenia dla dobra Państwa i Narodu Polskiego.

Prezes Rady Ministrów

Prof. Dr Edward Szczepaniak

Minister Spraw Emigracji

Inż. Artur Rynkiewicz

Minister Spraw Zagranicznych

Prof. Dr Inż. Zygmunt Szkołpa



- Załączniki: 1. Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 20.12.1990
2. Protokół - Zamek Królewski w Warszawie w dniu 22.12.90

Zwolnienie Zbigniewa Dziembowskiego z urzędu Delegata Rządu RP. Archiwum Fundacji Dziedzictwa Polskiego w Afryce Południowej.

KOMISJA LIKWIDACYJNA RZĄDU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
NA UCHODŹSTWIE

COMMISSION FOR THE LIQUIDATION
OF THE AFFAIRS OF THE POLISH
GOVERNMENT IN EXILE

43 EATON PLACE, LONDON SW1X 8BX ENGLAND
Tel: 071-235 1480

W Pan
Inż. Zbigniew, M. Dziembowski
320 Brooks Street
Menlo Park 0081
Pretoria
Republic of South Africa

25 Marzec 1991

Szanowny Panie Inżynierze,

W następstwie wydarzeń, które miały miejsce w ubiegłym roku w Polsce, Prezydent Rzeczypospolitej, Ryszard Kaczorowski rozwiązał Rząd R.P. na Uchodźstwie i przekazał insygnia władzy Drugiej Rzeczypospolitej Lechowi Wałęsie, uznając go za swego prawnego następcę.

W wyniku tych posunięć przestaliśmy być emigracją polityczną i zakończyliśmy naszą oficjalną działalność na terenie międzynarodowym.

Upřednio wysłałem Panu oficjalne zwolnienie z piastowanego urzędu i podziękowanie za cenną współpracę.

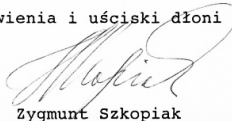
Dla upamiętnienia naszych wspólnych wysiłków przesyłam Panu fotografię ostatniego Prezydenta Rzeczypospolitej na Uchodźstwie, Ryszarda Kaczorowskiego. Również załączam zdjęcia z ceremonii przekazania insygniów władzy Drugiej Rzeczypospolitej Prezydentowi Lechowi Wałęsie na Zamku Królewskim w Warszawie.

Niezależnie od oficjalnych dokumentów pragnę jaknajserdeczniej podziękować Panu za cenną i ofiarną współpracę z byłym Ministerstwem Spraw Zagranicznych i ze mną osobiście.

Wierzę, że po zakończeniu pracy politycznej zaangażuje się Pan w inne formy życia emigracyjnego na terenie swego kraju osiedlenia.

Zorganizowane życie emigracyjne w różnych krajach potoczy się niezależnymi drogami, mam jednak nadzieję, że nie stracimy kontaktów osobistych i że przynajmniej w niektórych sprawach poszczególne "Polonie" będą ze sobą współpracowały.

Łączę pozdrowienia i uściski dłoni



Zygmunt Szkopiak

Pismo do Zbigniewa Dziembowskiego od Ministra Zygmunta Szkopiaka.
Archiwum Fundacji Dziedzictwa Polskiego w Afryce Południowej.



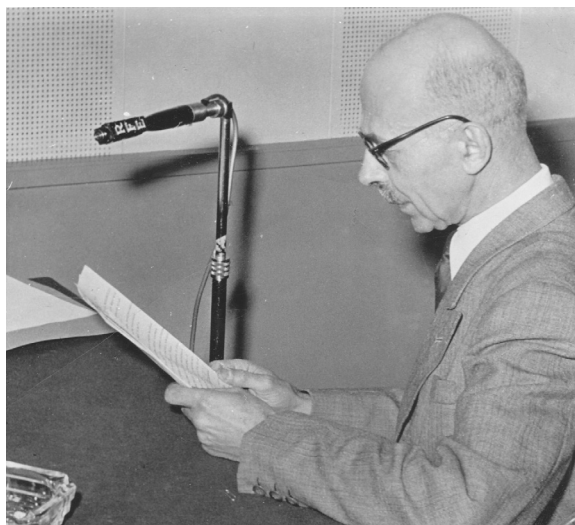
Rząd RP na Uchodźstwie kierowany przez premiera Tomasza Arciszewskiego (1944–1947). Zbiory Adama Komorowskiego.



30-lecie Artylerii Konnej Wojska Polskiego, Klub Orła Białego w Londynie, sierpień 1951 roku. Zbiory Adama Komorowskiego.



Mjr Z. Elsner, gen. W. Anders, gen. T. Bór-Komorowski. Zbiory Adama Komorowskiego.



Tadeusz Bór-Komorowski w studiu Radia Wolna Europa. Zbiory Adama Komorowskiego.



Tadeusz Bór-Komorowski w maju 1963 roku. Zbiory Adama Komorowskiego.



Henryk Giedroyc i Maciej Morawski w Maisons-Laffitte, 2 grudnia 2008 r.
Wikipedia (licencja Creative Commons): fot. Mariusz Kubik.



Ambasador Edward Raczyński i Cecylia Raczyńska przed gmachem Ambasady RP w Londynie, 1937 rok. Narodowe Archiwum Cyfrowe.



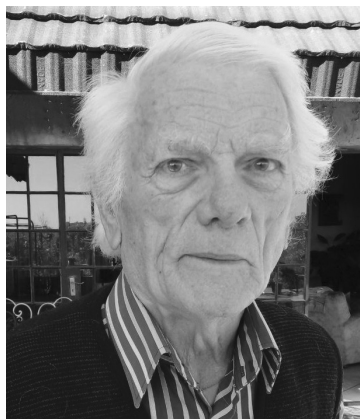
Katarzyna Raczyńska, Aniela Mieczysławska, Edward Raczyński, gen. Władysław Anders, Jan Nowak Jeziorański, gen. Marian Kukiel podczas nagrania w studiu radiowym, rok nieznany. Narodowe Archiwum Cyfrowe.



Spotkanie autorów książki M. Dworskiego i B. Czajki z prof. S. Gebhardtem w jego mieszkaniu we Wrocławiu, 19 sierpnia 2021 r. Zbiory Michała Dworskiego.



Anna Maria Anders, Ambasador RP w Republice Włoskiej i Republice San Marino. Wikipedia (licencja Creative Commons): MSZ.



Zbigniew Maria Dziembowski.
Zbiory Z.M. Dziembowskiego.



Maciej Morawski, 30 czerwca 2012. Wikipedia (licencja Creative Commons): fot. Mariusz Kubik.

